

# Intryga i miłość



FRYDERYK SCHILLER

# *Intryga i miłość*

TRAGEDIA

TŁUM. MICHAŁ BUDZYŃSKI

## OSOBY

PAN WALTER, prezydent na dworze niemieckiego księcia

FERDYNAND, syn jego, major

KALB, marszałek dworu

LADY MILFORD, faworyta księcia

WURM<sup>1</sup>, prywatny sekretarz prezydenta

MILLER, skrzypek

JEGO ŻONA

LUDWIKA, ich córka

ZOFIA, pokojowa LADY MILFORD

POKOJOWY KSIĘCIA

STRAŻ — SŁUDZY

---

<sup>1</sup>Wurm — nazwisko znaczące, w jęz. niem. oznacza robaka. [przypis edytorski]

# AKT I

## SCENA I

*Pokój w domu MILLERA.*

MILLER *wstaje z krzesła i kładzie na bok basetkę. Przy stole ŻONA jego w rannym ubiorze pije kawę.*

MILLER

*w poruszeniu i przechadzając się po scenie*

Dosyć już tego! To rzecz nie na żarty. Córka moja z majorem pójdzie na języki. Mój dom okrzyczą. Prezydent rzecz całą przewącha — i cóż? — oto krótko i zwięźle ja paniczowi zakażę tu bywać.

ŻONA

Wszakżeś go do domu twego nie namawiał — córki nie narzucał.

MILLER

Do domum nie namawiał, dziewczki nie narzucał; a kto o tym wspomni? — Byłem tu panem i trzeba było córce mores<sup>2</sup> nakazać, szanownemu papie o synku dać wiedzieć — a tak, młodemu baronowi wytrą kapitułę, a cała burza spadnie na skrzypiciela.

ŻONA

*popijając kawę*

Koszalki, opalki! Co spaść może na ciebie? Kto ci za złe weźmie? Pilnujesz rzemiosła i zbierasz uczniów, gdzie ich znaleźć można.

MILLER

Ale racz mi powiedzieć, co z tego wszystkiego na końcu wypadnie? Dziewczynę na żonę wziąć nigdy nie może — o ożenieniu tu ani gadać — a jeśli ma być... Zlituj się Boże! — Dobry dzień Jejmości! — Przypuśćmy, że ten paniczyk, tu i tam się szastając, poradził już sobie — diabeł nie śpi! — tożby zasmakowało taką szklaneczkę słodkiej wody wypić. Pilnuj dobrze! Gdybyś do każdej szparki oko przytknęła, przed każdą krwi kroplą straż postawiła; on ci z przed nosa dziewczynę uchwyci, na swoje przerobi i córka zhańbiona, życie całe na koszu osiedzie<sup>3</sup>, albo znużona, przyczepi się do rzemiosła — *grożąc pięścią.* Jezu Chryste!

ŻONA

Boże nas zachowaj!

MILLER

Ty się tylko zachowaj. Za czym innym ten wietrznik<sup>4</sup> upędzać się może? Dziewka piękna i zgrabna i czysto się przybiera. Pod dachem niech co chce będzie. U was kobiet to fraszka, byle pieścidelko na świecie pokazać. Niech no mój wierzciopięta ten artukuł zwietrzy, to mu aż jasno w oczach zaświeci i dopiero żagielki na wszystkie wiatry rozepnie. Cóż ja mam mówić? — Człowiek jest człowiekiem.

ŻONA

Gdybyś ty odczytał wszystkie piękne listy majora do naszej córki. Boże mój! Tam jak słońce stoi, że mu tylko idzie o jej piękną duszę.

MILLER

W tym właśnie jest sztuka — bić po worku, a osła ogrzmocić. Kto miłe ciało chce tylko uraczyć, niechaj do serca w kumy posyła. A jaż jak robiłem? — Skoro się czarno na białym pokaże, że dwie dusze zawarły przymierze, to i dwa ciała niebawnie<sup>5</sup> pójdą za przykładem. Służba idzie za panem — a koniec zawsze wyjaśnia, że srebrny księżyc był tylko kusicielem.

<sup>2</sup>mores (daw.) — posłuszeństwo. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>na koszu osiedzieć — spotkać się z odmową propozycji małżeństwa. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>wietrznik (daw.) — osoba niestała w uczuciach. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>niebawnie — dziś popr.: niebawem. [przypis edytorski]

ŻONA

Obacz no piękne książki, które pan major do domu poznosił. Córka nasza na nich odmawia modlitwy.

MILLER

*świszcząc*

Hej ha! ona się modli! — dobrześ odgadła. Prosta polewka za przykra dla brzuszka tuczzonego makaronem, trzeba ją pierwiej w zaraźliwej kuchni beletrystów przez szatana zaprawić. W ogień mi te brudy! Dziewczyna wysysa z nich tylko Bóg wie jakieś figle niebieskie, co po krwi biegają jak muchy hiszpańskie<sup>6</sup> i wywracają nauki Chrystusa, które zaledwie ojciec jako tako jeszcze utrzymać może. W ogień powiadam — panienska nabija sobie głowę piekła świecidlami, w czułych rozmowach próżniackiego świata nie obaczy swojego domu, zapomni, wstydzic się będzie, że ojciec tylko na skrzypcach umiał wygrywać i gotowa odmówić na końcu pocziwego zięcia, który by się chętnie z moim stanem pogodził. Nie! Na Boga, nie! Zaraz mi pasztety w żywy ogień rzucić — a panu majorowi ja sam pokażę, gdzie stolarz drzwi porobił.

*Chce odejść.*

ŻONA

Upamiętaj się, Millerze! Nie raz piękny grosz się zebrał z prezentów...

MILLER

*wraca się i staje przed ŻONĄ*

Krwawy grosz za córkę moją? — Do piekła ruszaj, przekłeta kuplerko<sup>7</sup>! Wolę na żebraczym kijku, z moją skrzypką za suchy kawał chleba piosenki wygrywać, wolę moją basetlę w kawalki roztrzaskać, gnój na rolę wozic, niżli używać grosza, na który jedyne dziecko moje zgubą honoru i zbawienia musiało zarabiać. Nie pij tej przekłetej kawy i nie zażywaj tabaki — a nie będzie potrzeby twarz dziecka twego na targowisko wynosić. Ja Bogu dzięki miałem dosyć strawy i białą koszulę na ciele nosilem, choć ten szalapat w domu się moim jeszcze nie rozkochał.

ŻONA

Tylko się ze drzwiami twymi nie odgrażaj. Poczekaj, aż pierwszy zapęd gniewu minie. Powiadam ci, że nie można pana majora tak niegrzecznie traktować, choćby dlatego, że jest synem prezydenta.

MILLER

Otóż świrszcz w ukropie. Dlatego właśnie, dlatego dziś się wszystko skończy. Prezydent będzie mi wdzięczny, jeżeli pocziwym jest ojcem. Wyczyść mi mój ceglasty surdut bajowy — a zaraz się jemu przedstawię i powiem bez ogródk: Syn jaśnie oświeconego pana rzucił oko na moją dziewczkę. Dziewka moja za niska jest na żonę dla jego syna, ale za wysoka na jego nałożnicę — i basta — nazywam się Miller.

## SCENA II

*Poprzedzający i WURM.*

ŻONA

Ach! Dobry dzień, panie sekretarzu! Przecież znowu mamy przyjemność oglądania jego.

WURM

Mnie się zdaje, pani kumo, że gdzie łaska szlachcica gości, tam moja przyjemność mieszczańska niewiele znaczyć może.

ŻONA

Co też nie powiecie, panie sekretarzu! Wysoka łaska pana majora sprawia nam zapewne wielki *pleziz*<sup>8</sup> czasami; ale dlatego nikim wzgardzać nie będziemy.

<sup>6</sup>*mucha hiszpańska* — afrodyzjak. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*kuplerka* (daw.) — stręczycielka. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*pleziz* (z fr.) — przyjemność. [przypis edytorski]

MILLER

Żono! Krzesło podaj panu — racz się rozgościć.

WURM

*kładzie laskę, kapelusz i usiada*

No! jakże się miewacie, moi przyszli teściowie? — a może przeszli? — nie spodziewam się jednak. Czy można pannę Ludwikę powitać?

ŻONA

Dzięki za pamięć, panie sekretarzu! Ale moja córka nie jest wcale dumna.

MILLER

*ze złością trącając ją łokciem*

Kobieto!

ŻONA

Żałuję bardzo, że nie może mieć honoru pozdrowienia pana sekretarza. W tej chwili poszła do kościoła.

WURM

To mnie cieszy, cieszy nieskończenie! Będę z niej dobrą chrześcijankę, pobożną mieć żonę.

ŻONA

*z uśmiechem głupkowskim*

Tak! — ale, panie sekretarzu! ...

MILLER

*z widocznym pomieszaniem szczypie ją za ucho*

Kobieto!

ŻONA

Jeśli mu w czym innym służyć możemy — to z wielką przyjemnością, panie sekretarzu!

WURM

*z fałszywym spojrzeniem*

W czym innym? — Pięknie dziękuję, pięknie dziękuję — hum, hum.

ŻONA

Ale pan sekretarz sam uzna...

MILLER

*Pełen gniewu, silnie z tyłu uderzając ŻONĘ.*

Kobieto!

ŻONA

Co dobre, to dobre, a co lepsze, to lepsze. Szczęściu własnego dziecka nie można na zawadzie stawiać; sam to wyznasz, panie sekretarzu.

WURM

*niespokojnie obraca się na krześle, skrobie się po głowie i poprawia żaboty<sup>9</sup> i manszetki<sup>10</sup>*

Sam wyznam? Nie! — ale tak!... Jakże to rozumiecie?

ŻONA

No — ja myślę, mnie się zdaje, że kiedy Pan Bóg wybrał moją córkę na szlachciankę

WURM

*wstając z krzesła*

Jak powiadacie? — jak? —

<sup>9</sup>żabot — ozdoba z marszczonej tkaniny umieszczana na przodzie bluzki. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>manszet — mankiet, zakończenie rękawa wzmocnione dodatkowym paskiem tkaniny. [przypis edytorski]

MILLER

Nie wstawaj! Siedź, panie sekretarzu! Moja żona to gęś głupia; skąd by się wziąć miała szlachcianka? Jakże tam diabeł rogi w tej gadaninie wyściubił?

ŻONA

Żartuj sobie, żartuj. Co wiem, to wiem — a co pan major mówił, to mówił.

MILLER

*uniesiony porywa za skrzypce*

Czy stulisz ty pysk twój przekłety? Czy chcesz, ażebym wiolonczelę na twojej czasce potrzaskał? Co ty wiesz? — co on mógł mówić? — nie zwracaj, kumie, uwagi na paplarstwo kobiece. — Marsz do kuchni. Nie jestem przecież tyle nierozsądnym, panie sekretarzu, ażebym dziewczkę moją chciał przec tak wysoko. O mnie zapewne tego nie pomyślisz?

WURM

I na to nie zasłużyłem u was, panie kapelmajstrze! Miałem cię zawsze za słownego człowieka — a moje prawa do twojej córki były tak święte, jakby podpisane. Mam urząd, który na opędzenie potrzeb domowych wystarczy. Prezydent łaskaw na mnie. Gdy zechcę wyżej się podnieść, pleców nie zabraknie. Widzicie więc, że moje zamiary są prawdziwe; chyba jakiemu szlachcicowi wiercipięcie...

ŻONA

Panie sekretarzu Wurm! Więcej uszanowania, jeżeli prosić można.

MILLER

Trzymaj język za zębami, raz ci powiadam. Nie gniewaj się, kumie! Z nami po dawnemu. Co wam przeszłego lata mówiłem, to i dziś powtórzę. Córki mojej zmuszać nie będę. Staraj się o jej serce, a ona obaczy, czy może być z tobą szczęśliwą, pokręci głową — tym lepiej — w imię Boże chciałem powiedzieć; od niej weźmiesz harbuza<sup>11</sup>, ale z ojcem wypijesz butelczynę wina. Nie ja, ale dziewczyna musi żyć z tobą. Dlaczegoż bym miał jej narzucać człowieka, którego ona kochać nie może? — Żeby mnie w starych latach zły duch, jak pieczeń na rożnie obracał, żebym w każdej szklance wina, w każdej łyżce zupy przypominał, słyszał wyrzuty: jesteś niegodziwiec, który własne dziecko zgubił.

ŻONA

Krótko i zwięźle, ja mego zezwolenia zupełnie odmawiam; moja córka na coś lepszego stworzona — a choćby mój mąż dał się namówić, ja przed sądem stanę.

MILLER

Czy chcesz ty, wietrzna pętlico, ażebym ci nogi i ręce połamał!

WURM

Ojcowska rada u córki wiele znaczyć może — a wy mnie znacie, panie Millerze!

MILLER

Do piorunów! Dziewce, a nie mnie daj się naprzód poznać. Co ja, stary wyga, w tobie upatrzę, nie będzie łakociem dla młodej, wybrednej dziewczyny. Powiem ci, czy możesz przydać się do orkiestry — ale serduszko kobiece zanadto dla mnie figlarne. A potem kumie! Ot ci prawdę powiem, bom stary, pocziwy Niemiec. Córce mojej nikogo na męża doradzać nie będę — ale ciebie, panie sekretarzu, wręcz bym odradzał. Pozwól niech dokończę. Kochankowi, który ojca na pomoc musi przyzywać — daruj mi, ani na włoskę wierzyć nie mogę. Jeżeli ma jakie uczucie, wstydzić by się powinien, swoje przymioty tą staromodną drogą do kochanki przyprowadzać — tam, za plecami ojca odbywa się konkurencja. Trzeba, żeby dziewczka wołała ojca i matkę, aniżeli jego opuścić; żeby sama do nóg się rodzicom rzuciła i wyplakała sobie albo czarną śmierć, albo najdroższego. Taki u mnie zuch! To u mnie się kochać nazywa, a kto tego u kobiet nie może — ten woli na drewnianym jeździć koniku.

WURM

*porywa za laskę i kapelusze i wychodząc*

<sup>11</sup>harbuz (daw., pot.) — odmowa na propozycję małżeństwa. [przypis edytorski]

Wielce obowiązany, panie Millerze!

MILLER

*powoli idąc za nim*

Za cóż? — za cóż, panie sekretarzu! Przecieżeście niczego nie doznali. (*Wracając*). Nie słucha i odchodzi. — A to jakbym truciznę, denderę zażywał ile razy tego lisiego skribusa<sup>12</sup> obaczę — obrzydliwa istota, do ludzi niepodobna, jakby go przemycarz skąd inąd na świat Boży sprowadził. Małe mysie oczy, pełne chytrłości — czerwone włosy, broda spiczasto zadarta — zdaje się, że natura z gniewu nad zepsutą pracą swoją, ten pień chropawy schwyciwszy, na rozdroże cisnęła. Nie — zanim bym córkę moją miał dać takiemu niecnocie, wołałbym ją — Boże odpuść!

ŻONA

Tak! — a każesz mi milczeć.

MILLER

Tyś także z twoim przeklętym paniczem gorącego sadła mi za kołnierz naląła. Co znaczyła ta gadanina o szlacheckiej pani i o córce twojej? To stary smyk! Połóż mu co na nosie, a jutro na targowisku obaczysz. Paniczyk należy do tych ludzi, co przeglądają wszystko, co się w domu dzieje; rozmawiają o piwnicy i kuchni, a przemknie się któremu przez język nieostrożne słowo — baff — książę, faworyta, prezydent i wszyscy wiedzą — a na ciebie pioruny i burze.

### SCENA III

LUDWIKA *z książką w ręku. Poprzedzający.*

LUDWIKA

*kładzie książkę na stole i ojca w rękę całuje*

Dobry dzień, kochany ojczu!

MILLER

Brawo moja Ludwiko! — cieszy mnie, że tak pilnie o Stwórcy twoim myślisz. Bądź tak zawsze — a jego ramię wesprze cię w potrzebie.

LUDWIKA

Och! Jam wielce grzeszna, ojczu mój! — Był on tu, matko?

ŻONA

Kto, dziecię moje?

LUDWIKA

Zapominam, że oprócz niego i inni są ludzie. W mojej głowie taka pustynia. — Czy nie było Waltera?

MILLER

Rozumiałem, że moja Ludwika od dziś to imię w kościele zostawi.

LUDWIKA

*patrząc w oczy ojca oślepiało*

Pojmuję cię ojczu — czuję to żelazo, które zagłębiasz w sumienie moje; ale za późno. Pobożność mnie opuściła. Niebo i Ferdynand, mój ojczu! walczą w duszy mojej — lękam się, lękam — ale nie, ojczu kochany! Mistrz największą pochwałę odbiera, gdy o nim zapominamy, patrząc na dzieło jego. Radość moja nad Boga arcydziełem każe mi o Bogu zapomnieć. — Ojczu! Czyliż go to cieszyć nie powinno?

Miłość, Bóg

MILLER

*ze smutkiem rzuca się na krzesło*

Otóż mamy owoc bezbożnego czytania?

LUDWIKA

*niespokojnie spozierając w okno*

<sup>12</sup>skribus (z łac.) — pisarz (tj. urzędnik zajmujący się dokumentacją). [przypis edytorski]

Gdzie on jest? Wysokie panie może go w tej chwili oglądają, słuchają rozmów jego — ja biedna opuszczona dziewczyna. *Przestraszona własnymi słowami rzuca się w objęcie ojca.* Ale nie! przebac; nad losem moim nie płaczę — jedną mu tylko myśl poświęcę — to tak mała ofiara! Dostatecznym byłoby szczęściem dla mnie to trochę życia mojego wyzionąć w cichy, uśmiechający się zefirek, byle tylko lice jego ochłodzić — ten kwiatek drobny młodości mojej, w fiołek zamienić i umrzeć pod nogami jego. — Dumne, majestatyczne słońce nie ukarze muszki, co się w jego jasnych przegląda promieniach!

MILLER

*wzruszony opiera się na poręcz krzesła i twarz sobie zakrywa*

Słuchaj, Ludwiko! To trochę życia, które mi zostaje, dałbym chętnie, gdybyś ty nigdy majora nie znała.

LUDWIKA

Co mówisz, ojcze? — Nie — tak myśleć nie możesz! Czyż nie wiesz, że Ferdynand jest moim; dla mnie stworzonym, dla mojej rozkoszy od ojca miłości. *Po krótkim namyśle.* Gdym po raz pierwszy ujrzała jego — i krew mi na twarz biła, i radośniej pulsa uderzały — każde wzruszenie gadało, szeptał każdy oddech: to on, to on dawno marzony od serca twego — i głos ten był echem całej natury radującej się ze mną! Wtenczas, o wtenczas pierwszy ranek zawitał do duszy mojej. Tysiące młodych uczuć serce napełniło, rozwinęło się jak kwiatki za wiosny błysnieniem. Jużem świata nie widziała — a jednak on nigdy nie był dla mnie piękniejszym. — Zapomniałam Boga na niebie — a jednak go nigdy więcej nie kochałam.

Miłość, Wiosna, Bóg

MILLER

*zbliżając się do niej i przyciskając do piersi*

Ludwiko! Drogie, szlachetne dziecko moje — weź tę starą pochyloną głowę — weź wszystko, wszystko — ale majora, Bóg moim świadkiem — majora dać ci nie mogę.

*Odchodzi.*

LUDWIKA

I ja go teraz nie żądam, mój ojcze! Jedno marzenie, marzenie o Ferdynandzie wypija rozkosznie tę kroplę skąpą czasu życia doczesnego. Tu, na tej ziemi, wyrzekam się kochanka. Tam, matko, tam, gdy stanów różnice przepadną — ludzie będą ludźmi — ja tylko z sobą niewinność przyniosę. Ale ojciec nie raz mi powiadał, że pyszne tytuły i marne ozdoby tracą wartość swoją, gdy Bóg przyjdzie i ceny serca podniesie. Tam będę bogatą, bo tam lży za tryumfy, a piękne myśli za przodków rachują. Twoja córka, matko, będzie szlachcianką i on niczym nad nią nie zdoła się wznosić.

ŻONA

*podskakując w górę*

Ludwiko! Major! — skacze już przez kładkę — gdzie się ukryje?

LUDWIKA

*ze drżeniem*

Zostań tu, matko!

ŻONA

Boże! Jakże ja wyglądam! — muszę się wstydzic — dalibóg, tak się przed nim pokazać nie można.

*Odchodzi.*

#### SCENA IV

FERDYNAND, WALTER i LUDWIKA.

FERDYNAND

*bieży do niej — LUDWIKA blada upada na krzesło — on w niemym wzruszeniu staje przed nią — chwila milczenia*

Ty taka blada, Ludwiko!

LUDWIKA

*wstaje i wiesz mu się na szyi*



Nic mi nie jest — tyś się pokazał i wszystko już przeszło.

FERDYNDAND

*całując jej rękę*

Kochasz mnie jeszcze, Ludwiko moja? Bo moje serce wczorajsze. Przylatuję, chcę zobaczyć, czy ty jesteś wesoła, i odejść, i z tobą wspólnie się radować. Tyś smutna, Ludwiko!

Miłość, Smutek

LUDWIKA

Nic — nic, mój kochanku!

FERDYNDAND

Mów prawdę! Tyś smutna! Ja w duszy twojej tak jasno patrzę, jak w czystej wodzie tego brylantu *pokazując na pierścień*. Tu ja postrzegę skazkę najdrobniejszą, a na twojej twarzy każdą myśl grającą. Co ci jest? — mów prędko. Byle na twoim licu pogoda jaśniała, nie ma dla mnie chmurki na niebie całym. Co cię udręcza?

LUDWIKA

*patrzy na niego czas niejaki w milczeniu, a potem z boleścią wymawia*

Ferdynandzie! Gdybyś ty wiedział, jak śmiesznie w tej mowie wygląda córka mieszczkańska.

FERDYNDAND

Co to jest! — Dziewczyno! Skąd te myśli wzięłaś? Ty dla mnie jesteś Ludwiką moją! Kto mówi, że ci więcej jeszcze potrzeba? Falszywa! Czy w tej zimnej rachubie mam cię spotykać? Gdybyś ty cała w miłości była, gdzieżby czas się znalazł na porównywanie. Przy tobie mój rozum w jeden wzrok się topi — bez ciebie w jeden sen o tobie — a ty w miłości rozsądku przyzywasz? Wstydz się! Tę nawet chwilę twego rozważania ukradłaś życiu twojego kochanka.

LUDWIKA

*bierze go za rękę i wstrząsa głową*

Chcesz mnie uspić, Ferdynandzie! Odwrócić oczy od tej przepaści, do której runąć muszę niewątpliwie. Ja patrzę w przyszłości. — Głos sławy — twoje zamiary — twój ojciec — moje nic! — *przestraszona spuszcza jego rękę*. Ferdynandzie! Miecz wisi nade mną i nad tobą — rozdzielił nas!

FERDYNDAND

Rozdzielił nas? Skąd to przeczucie, Ludwiko moja? Rozdzielił nas? kto może zniszczyć dwóch serc przymierze — dwa dźwięki jednej rozerwać harmonii. Ja szlachcic — ale czyż dyplom mój starszy niżeli zarzys do wielkiej świata przestrzeni, ale czyż herb mój ważniejszy, niżeli w oczach Ludwiki napis niebiański: *ta kobieta dla tego człowieka*. Jestem prezydenta synem — cóż, jeżeli nie miłość, osłodzi przekleństwa, które mi zdzierstwo ojca mojego w testamentie przekazuje?

LUDWIKA

O! Tego ojca — jakże ja się lękam.

FERDYNDAND

Ja niczego — tylko granic miłości twojej. Choć przeszkody jak góry między nami staną — ja je wezmę za wschody<sup>13</sup> i po nich w Ludwiki objęcia polecę. Burze przeciwnego losu podniosą uczucia moje — niebezpieczeństwa w ponętniejszych kolorach malować cię będą. A więc nic nie mów o bojaźni twojej. Ja sam — sam nad tobą czuwać będę, jak smok nad podziemnym złotem. Mnie się powierz! Gdzie lepszego wynajdziesz aniola? Między tobą i losem piersi ja nastawię — za ciebie każdą ranę przyjmę — z kielicha radości każdą kroplę wezmę; w kubku miłości do ust twych zaniosę. *Czule ją obejmując*. Na tym ramieniu po drodze życia prowadzić cię będę, oddam niebu piękniejszą, niżli byłaś pierwej i zmuszę go wyznać: że tylko miłość może duszę wykończyć.

LUDWIKA

*odpychając go*

<sup>13</sup>*wschody* — dziś popr.: schody. [przypis edytorski]

Nic więcej — błagam — ani słowa więcej — gdybyś wiedział, puść mnie, ty nie wiesz, że twoje nadzieje, jak furie biją w serce moje.

*Chce odejść.*

FERDYNAND

*zatrzymując*

Ludwiko? — jak to? — skąd te myśli przyszły?

LUDWIKA

Już te sny w mej duszy zapomniane były — Szczęście wróciło — a teraz, teraz — od tej chwili zginął pokój życia mojego. Dzikie pragnienia — już widzę — powstaną w piersi mojej. Idź — Bóg niech ci przebaczy. Zarzewie pożaru w moje ciche, młode serce rzuciłeś i nikt go nigdy nie ugasi.

*Wybiega FERDYNAND ją gont.*

## SCENA V

*Sala w domu PREZYDENTA.*

PREZYDENT *z orderem na szyi — gwiazdą na piersiach i WURM.*

PREZYDENT

Miłość prawdziwa? — mój syn? — Nie — temu nigdy wiary nie przydam.

WURM

Jaśnie oświecony pan niech każe dowody wyłożyć.

PREZYDENT

Ze się umizga<sup>14</sup> do miejskiej kanalii, pali koperczaki<sup>15</sup> — a wreszcie miłość udaje — to są rzeczy podobne, godne przebaczenia. Ale żeby — i to w córce kapelmajstra powiadasz?

WURM

Kapelmajstra Millera córce.

PREZYDENT

Czy piękna? — to się ma rozumieć.

WURM

*żywo*

Najdoskonalszy egzemplarz blondynki, który bez przysady<sup>16</sup> mógłby między najpięrszymi pięknościami dworu królować.

PREZYDENT

*śmiejąc się*

Mówisz, Wurmie, że sam o niej myślisz, to dobrze; ale uważ tylko, kochany sekretarzu, że syn mój pociąg ma do płci niewieściej, robi mi nadzieje, że go panienki nie będą odrzucać — to mu się przyda na dworze. Dziewczyna jest piękną, powiadasz — widać, że ma dobry gust. Kłamię jej zręcznie o wiernej miłości — tym lepiej — ma dowcip<sup>17</sup> kłamstwa za prawdę podawać — to go do prezydenckiego krzesła zaprowadzi. Dojedzie swojego! — wyśmienicie — pokaże, że szczęście mu się uśmiecha, a jeśli się cały figiel na zdrowym wnuku zakończy — nieporównanie! — wypiję więcej jedną butelkę malagi<sup>18</sup> na dobry znak rozrodzenia się mojego plemienia i zapłacę sądową karę za uwiedzenie dziewczyny.

WURM

Wszystko, cokolwiek życzyć mogę jaśnie oświeconemu panu, jest żebyś nie potrzebował butelki malagi na roztargnienie umysłu.

<sup>14</sup>*umizgać się* — zalecać się. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*palić koperczaki* (daw., pot.) — zalecać się. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*przysada* (daw.) — wada. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*dowcip* (daw.) — rozum, spryt. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*malaga* — gatunek słodkiego wina hiszpańskiego. [przypis edytorski]

PREZYDENT

Pamiętaj Wurmie! że gdy raz wierzę, wierzę najuporniej — w szaleństwo wpadam, gdy mnie gniew ogarnie. Wiem, że byś rywala chętnie chciał się pozbyć. Pojmuję, że nie mogąc syna mego wyrugować, chcesz ojca biczyk naprowadzić. Filuterny twój dowcip cieszy mnie niewymownie. Tylko, mój Wurmie kochany, mnie nie oszukuj — żartami swymi, rozumiesz, nie waż się moich zasad naruszać.

WURM

Jaśnie oświecony pan raczy mi przebaczyć, ale gdyby istotnie zazdrość grać tu miała rolę — widziałbyś ją pan w oczach, a nie na języku.

PREZYDENT

I stąd, i zowąd lepiej ją odrzucić. Głupi mazgaju — czy ci nie wszystko jedno dukat z mennicy, czy od bankiera otrzymać. Ciesz się przykładem szlachty tutejszej — widomo czy nie widomo — rzadko u nas małżeństwo się odbędzie, żeby najmniej półtuzina gości, albo usłużnych przyjaciół, przed ślubem jeszcze, raju narzeczonego geometrycznie nie odmierzyło.

Ślub, Cnota

WURM

*klaniając się*

W tej mierze wolę, jaśnie oświecony panie, zostać mieszczańinem.

PREZYDENT

Oprócz tego, możesz w krótkim czasie mieć uciechę wypłatania rywalowi porządnej sztuczki. Właśnie teraz ułożono w gabinecie, na przyjazd nowej małżonki panującego księcia, Lady Milford pozornie pożegnać — a nawet dla lepszego udania rzeczy, męża jej wynaleźć. Wiesz Wurmie, jak wiele moje znaczenie na wpływie Lady się opiera, jak moje wszystkie sprężyny zależą na dogadaniu chęciom księżęcia. Szuka on małżonka dla Milford. Ktoś inny może się pojawić, kupno zawrzeć i z faworytą księcia stać się panującemu niezbędnym. Żeby więc księżę w sieciach mojej rodziny pozostał, Ferdynand musi zaślubić Lady Milford. Czy jasno ci teraz?

WURM

Aż mi w oczach piecze. Prezydent dowodzi, że ojciec tylko początkującym jest uczniem; ale jeżeli major tak posłusznym okaże się synem, jak wy, panie, ojcem pełnym czułości, boję się, ażeby zamiar odrzuconym nie był.

PREZYDENT

Szcześciem, nigdy się nie troskałem o doprowadzenie zamiarów moich do skutku, skoro raz wyrzekłem: tak stać się musi. Otóż, Wurmie, jesteśmy znowu na punkcie, z któregośmy wyszli. Przed południem jeszcze oznajmiam synowi memu ożenienie. Jego twarz twoje podejrzenie usprawiedliwi, albo zupełnie zniweczy.

WURM

Łaskawy panie! — racz mi przebaczyć — ale smutną twarz, którą niewątpliwie syn ci pokaże, odnieść będzie można albo do oblubienicy, którą mu dajesz, albo do tej, którą mu wydzierasza. Ja żądam ostrzejszej próby. Racz mu przedstawić najlepsze w kraju małżeństwo — a jeżeli przyjmie, możesz na trzy lata Wurma do łańcucha skazać.

PREZYDENT

*gryząc wargi*

Piekło!

WURM

To nie może być inaczej. Matka, uosobione głupstwo, w prostocie mowy swojej zanadto mi wiele powiedziała.

PREZYDENT

*w gniewie szybko się przechadzając*

A więc dobrze — tego jeszcze rana.

WURM

Tylko, panie! Racz pamiętać, że major mojego dobrodzieja jest synem.

PREZYDENT

Nic się o tobie nie wspomni.

WURM

I że usługa uwolnienia cię od nieproszonej synowej...

PREZYDENT

Wyciąga wzajemnej usługi Wurmowi do żony dopomóc — nie zapomnę.

WURM

*klaniając się*

Zawsze twój najuniżeńszy, mój łaskawy panie.

*chce odejść*

PREZYDENT

To, com ci powierzył *grożąc* jeżeli wydasz...

WURM

*śmiejąc się*

Jaśnie oświecony pan pokażesz wtenczas moje fałszywe podpisy.

*Odbodzi.*

PREZYDENT

O tom spokojny — trzymam cię na twojej zbrodni jak chrząszcza na nici.

LOKAJ

*anonsując*

Marszałek dworu pan Kalb.

PREZYDENT

Jakby zawołany! — przyjemnie mi go przyjąć.

LOKAJ *odchodzi.*

## SCENA VI

*Marszałek KALB w bogatej ale bez gustu sukni dworskiej, z kluczem szambelańskim, dwoma zegarkami, szpadą, stosowanym kapeluszem i ufryzowany. Bieży z głośnym tupaniem i śmiechem i ścisła PREZYDENTA.*

KALB

Dobry dzień ci mój najdroższy! Jakże spałeś, jak spoczywałeś — daruj, że tak późno mam przyjemność — ale naglące zatrudnienia: Cettel kuchenny, karty wizytowe — ułożenie par na dzisiejszą saniami przejażdżkę — ach — a potem przy wstawaniu musiałem być obecnym i Jego Księżęcej Mości porę oznajmić.

PREZYDENT

Prawda, marszałku, nie tak łatwo mogłeś się uporać.

KALB

Jeszcze ten krawiec niegodziwy zabrał mi czasu.

PREZYDENT

I mimo tego na nogach i gotów?

KALB

To nie wszystko — nieszczęście za nieszczęściem idzie. Posłuchaj tylko.

PREZYDENT

*z roztargnieniem*

Czy podobieństwo?

KALB

Posłuchaj tylko. Zaledwie wysiadam z powozu, rumaki moje wierzgać i bić kopytami zaczynają — tak dalece — proszę cię, że błoto uliczne pada na spodnie moje. Co tu pchać? Postaw się, na imię Boga, w położeniu moim, baronie! Stałem na progu! wszystko

za późno — na dniu białym trzeba pokazać się jego książęcej mości. Boże mój sprawiedliwy! — wpadam na myśl — udaję omdlenie — na łeb na szyję niosą mnie do powozu — ja w całym pędzie koni jadę do domu, zmieniam odzienie, przyjeżdżam nazad<sup>19</sup> — i cóż powiesz? Jestem najpierwszy w przedpokoj — co myślisz?

PREZYDENT

Cudowne *impromptu*<sup>20</sup> ludzkiego dowcipu. Ale o tym potem, mój Kalbie. Mówiłeś więc z księciem?

KALB

z *powagą*

Dwadzieścia minut i pół.

PREZYDENT

Doprawdy? — wiesz więc zapewne o ważnej nowinie?

KALB

po *niejakim milczeniu*

Jego książęca mość wystąpił w *Merde d'Oie*<sup>21</sup> odzieniu bobrowym.

PREZYDENT

Proszę uniżenie! Nie, marszałku! Ja mam ci lepszą oznajmić wiadomość. Zapewne nie wiesz, że Lady Milford ma być majorową Walter?

KALB

Czy podobna<sup>22</sup>? I to zupełnie ułożone?

PREZYDENT

Podpisane, marszałku — a ty zobowiążesz mnie, jeżeli bez odwołki uprzedzisz Lady o wizycie syna mojego, a całe miasto o jego postanowieniu uwiadomisz.

KALB

z *zachwyceniem*

Z największą przyjemnością, mój drogi przyjacielu! Cóż dla mnie może być więcej pożądanym? — lecę co prędzej *ściskając go*. Bądź zdrow — w trzech kwadransach całe miasto się dowie.

*wyskakuje*

PREZYDENT

*śmiejąc się*

Niechże mówią, że takie stworzenie na nic się światu nie przyda? — No, teraz mój Ferdynand musi się zgodzić, albo całe miasto skłamało *dzwoni, wchodzi Wurm*. Syn mój niech przyjdzie!

WURM *odchodzi*, PREZYDENT *zamysłony przechadza się*.

## SCENA VII

FERDYNAND, PREZYDENT, WURM.

FERDYNAND

Kazałeś, mój ojczu.

PREZYDENT

Musiałem, chcąc syna mojego choć raz obaczyć. Zostaw nas, Wurmie. WURM *odchodzi*. Ferdynandzie, od dawna uważam i nie widzę już w tobie tej żywej, otwartej młodości, która mnie tyle zachwyciała. Dziwna jakaś posepność zaległa twarz twoją — unikasz ojca, unikasz towarzystwa. Wstydz się. Wiekowi twojemu prędzej tysiąc uchybień niż jedno strapienie darować można. Strapienie mnie zostaw — ja sam, kochany synu, pracować

<sup>19</sup>*nazad* (daw.) — z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*impromptu* — improwizacja. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*merde d'oie* (fr.) — kolor żółtozielony (dosł.: gęsie odchody). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*czy podobna* (daw.) — czy to możliwe? [przypis edytorski]

będę nad szczęściem twoim, ty tylko podług moich postępuj zamiarów. Chodź, uściskaj ojca, Ferdynandzie!

FERDYNAND

Wielce jesteś łaskawym dzisiaj, mój ojcze!

PREZYDENT

Dzisiaj? — figlarzu! I to dzisiaj wymawiasz ze skrzywioną twarzą? *surowo* Ferdynandzie, dla kogo ja wstąpiłem na niebezpieczną drogę do serca książęcego? — dla kogo z sumieniem i Bogiem na wieki zerwałem? Komu otwarłem miejsce wydaleniem poprzednika mego? — Straszna historia, która tym krwawiej tnie głąb duszy mojej, im starannież żelazo przed światem ukryte. Słuchaj — dla kogo to wszystko, Ferdynandzie?

FERDYNAND

*z przerażeniem odstępując od ojca*

Przecież nie dla mnie, mój ojcze? Na mnie odbicie straszego występku spadać nie powinno! Przez Boga potężnego, lepiej było na świat nie przychodzić, aniżeli zbrodni za wymówkę służyć!

PREZYDENT

Co to jest? — co to znaczy? — Ale przebaczam twojej romansowej głowie. Ferdynandzie, nie chcę gniewem się unosić. Chłopcze gwałtowny! Także<sup>23</sup> mi płacisz za noce bezsenne, za nieustanne troski, za tego robaka, co wiecznie sumienie mi toczy? Na mnie spadnie ciężar odpowiedzialności, na mnie przekleństwo, na mnie piorun sędziego. Ty z drugiej ręki szczęście odbierasz — zbrodnia nie spada w dziedzictwie.

FERDYNAND

*podnosząc prawą rękę do Nieba*

Uroczyście, przed niebem zrzekam się dziedzictwa, które mi o zbrodni ojca przypominać musi.

PREZYDENT

Młodzieńcze! — słuchaj — nie obudzaj gniewu! — Gdyby cię własnej woli zostawić, całe byś życie czołgał się w prochu.

FERDYNAND

Lepiej w prochu niż przy tronie czołgać się, mój ojcze!

PREZYDENT

*thumiąc gniew*

Zmusić cię trzeba, żebyś szczęście uznał. Gdzie dziesięciu innych w trudzie i pracy dojść nie zdołają, ty się podnosisz śpiąc słodko, igraszki pędząc dziecinne. W dwunastym roku chorążym, w dwudziestym majorem. Teraz za prośbą moją zrzucisz mundur i wejdiesz do ministerium. Książę mi mówił o tajnym radcy, o poselstwach, o łaskach nadzwyczajnych. Wspaniała przyszłość otwiera się przed tobą. Ubita droga do pierwszego miejsca po tronie — do tronu samego, jeżeli władza ma tyle ponęty, ile jej oznaki — i toż cię nie zapala?

FERDYNAND

Moje pojęcie o szczęściu i wielkości różne jest od twojego. Wasza szczęśliwość rodzi się zniszczeniem. Zazdrość, bojaźń, złorzeczenie — oto są smutne zwierciadła, gdzie się wysokość panującego przegląda. Łzy, przekleństwa, rozpacz — oto są potrawy strasznej uczty, przy której uderzeni szczęściem swym biesiadują, i kończą pijaństwem, żeby w tym stanie przed tron się Boga do wieczności zatoczyć. Marzenia moje o szczęściu we mnie się samym zbierają. W moim sercu wszystkie chęci leżą pogrzebane.

PREZYDENT

Mistrzowsko — wybornie — nie można lepiej! Po trzydziestu latach znowu pierwsze kazanie. Szkoda tylko, że pięćdziesiątletnia głowa moja za twarda do nauki. Ale żeby te

<sup>23</sup>*także* — tak z partykułą wzmacniającą -że. [przypis edytorski]

rzadkie przymioty próżno nie rdzewiały, przydam do boku osobę, przy której mógłbyś się ćwiczyć do woli w twoim pstrofarbnym szaleństwie. Przygotuj się — dziś jeszcze — do ożenienia.

FERDYNAND  
*cofa się przerażony*  
Mój ojcze!

PREZYDENT  
Posłałem w twoim imieniu kartę wizytową Lady Milford. Bez odwołki masz się tam udać i oznajmić jej, że przychodzisz jako narzeczony.

FERDYNAND  
Lady Milford, mój ojcze?

PREZYDENT  
Jej samej, jeżeli ci znana.

FERDYNAND  
Jakiemuż pręgierzowi w księstwie nie jest ona znana? Ale śmieszny jestem, żart twój za prawdę uważać. Chciałżebyś ojcem bezwstydnego być syna, który uprzywilejowaną zaślubia rozpustnicę?

PREZYDENT  
Jeszcze więcej, starałbym się o jej rękę, gdyby nie pięćdziesiąt lat moich. Chciałżebyś synem być bezwstydnego ojca?

FERDYNAND  
Nie! Jak Bóg żywy na niebie.

PREZYDENT  
Zuchwałość — na mój honor — której dla<sup>24</sup> osobliwości tylko przebaczyć trzeba.

FERDYNAND  
Proszę cię, ojcze, nie zostawiaj mnie dłużej w tej niepewności, gdzie by mi nieznośnie było synem się twoim nazywać.

PREZYDENT  
Młodzieńcze! Czy szal cię napadł? Któryżby człowiek rozumny nie pożądał honoru w jednym się miejscu z panującym stykać?

FERDYNAND  
Jesteś mi zagadką, mój ojcze. Nazywasz honorem — honorem dzielić się z panującym tam, gdzie panujący między ludźmi pełza.

PREZYDENT  
*głośno się śmiejąc*

FERDYNAND  
Możesz się śmiać — ale ja z tym odejdę. — Z jaką ja twarzą, mój ojcze, przed naj-  
nędzniejszym stanę wyrobnikiem, który przynajmniej niepodzielne ciało z żoną wziął  
w posagu? — z jaką twarzą stanę przed światem, przed księciem — z jaką przed tą na-  
łożnicą, która skazę czci swojej w moim wstydzie obmyć usiłuje?

PREZYDENT  
Gdzie znowu, młodzieńcze, język cię prowadzi?

FERDYNAND  
Na Boga i ludzi zaklinam cię, ojcze! Przez poniżenie syna twojego nigdy tyle szczę-  
śliwym nie będziesz, ile go nieszczęśliwym uczynisz. Dam ci życie moje, jeżeli cię to  
podnieść może. Życie mam od ciebie, nie będę się wahał jednej chwili twojej go wiel-  
kości poświęcić. Ale mój honor, ojcze! — jeżeli go zabierzesz, to życie mi dawać nazwę  
lekkomyślnym niegodziwca dziełem i będę zmuszony ojca jak kuplera<sup>25</sup> przeklinać.

<sup>24</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>kupler (daw.) — stręczyciel. [przypis edytorski]

PREZYDENT

*przyjaźnie uderzając go po ramieniu*

Brawo, kochany synu — widzę, że jesteś prawym człowiekiem i godnym najlepszej kobiety w tym księstwie. Otrzymasz ją, i tego południa jeszcze z hrabiną Ostheim będziesz zaręczony!

FERDYNDAND

*znowu pomieszany*

Czy ta godzina przeznaczona na moje zniszczenie?

PREZYDENT

*przenikające spojrzenie na niego rzucając*

Tu honor twój zapewne nic nie zdoła zarzucić?

FERDYNDAND

Nie, mój ojcze! Fryderyka Oslheim każdego innego uszczęśliwić by mogła. *do siebie.* Co złość jego w moim sercu zostawiła, dobroć jego niszczy.

PREZYDENT

*nie spuszczając z niego oka*

Czekam na twoje podziękowanie, Ferdynandzie.

FERDYNDAND

*całując jego ręce ze wzruszeniem*

Ojcze! Łaska twoje zapala wszystkie moje uczucia — przyjmij moje najszczerze podziękowanie. Wybór twój najzacniejszy — ale — ja nie śmiem — nie powinienem — żałuj mnie, ojcze! — ja hrabiny nigdy kochać nie mogę.

PREZYDENT

*cofając się*

Hola! — mam cię w łapce, młody paniczu — wpadłeś w sidła, chytry pochlebniku. — Nie honor od Lady Milford oddał cię. Nie osoby, ale małżeństwa nie chciałeś.

FERDYNDAND

*przez chwilę stoi niemy — potem chce odejść*

PREZYDENT

Dokąd? Zaczekaj. Jestże to uszanowanie winne ojcu twojemu? MAJOR *wraca.* Lady o twoim przyjściu już jest uprzedzona. Książę słowo moje otrzymał. Dwór i miasto wiedzą o moim zamiarze. Jeżeli mnie zrobisz kłamcą przed księciem — przed Lady — przed miastem, przed dworem kłamcą mnie zrobisz — słuchaj młokosie! — jeżeli ja wpadnę na pewne historyjki... poczekaj — hola, skąd ci naraz ten ogień do twarzy wystąpił?

FERDYNDAND

*zbladły i drżący*

Jak to? — to nic — w istocie nic, mój ojcze!

PREZYDENT

*groźnie patrząc na niego*

A jeżeli jest coś? — a jeżeli ja ślad znajduję, skąd twój upór pochodził? Ha młodziku, samo podejrzenie szaleństwo sprowadza. Idź natychmiast — na placu zaczyna się przegląd. Po służbie zaraz udasz się do Lady. Skoro ja się pokażę, państwo drży całe. Zobaczymy, czy ta uporna głowa potrafi mną przewodzić — *oddala się i wraca.* Powtarzam ci jeszcze, musisz tam być albo uciekać przed gniewem moim.

*Odchodzi.*

FERDYNDAND

*obudzony z głębokiego zamyślenia*

Czy już odszedł? — Byłże to głos ojca? Tak — pójdę do niej, będę jej mówić, przed jej oczy postawię zwierciadło. Bezwstydna! Jeżeli jeszcze wtenczas będziesz mojej ręki żądać — w obliczu zgromadzonej szlachty, wojskowych i ludu — o! przywołaj całą dumę twojej Anglii — w obliczu wszystkich odrzucę cię — ja, niemiecki młodzieniec.



## AKT II

*Sala w pałacu LADY MILFORD — po prawej ręce sofa, po lewej fortepian.*

### SCENA I

LADY *w rannym pięknym stroju — włosy jeszcze nieulożone — przygrywa na fortepianie.*  
ZOFIA *od okna odchodząc zbliża się do pani.*

ZOFIA

Oficerowie już się rozchodzą. Przegląd skończony — ale Waltera nie widać.

LADY

*wstaje i z niespokojnością przechodzi wzdłuż sali*

Nie wiem, gdzie dziś jestem? — jeszcze mi nigdy tak tęskno nie było. Więc go nie widziałas. O! pewnie; nie spieszy się. Jak zbrodnia ciąży na piersi mojej... Idź, Zofio! każ mi najdzikszego z mojej stajni osiodłać rumaka. Ja muszę na wolne — obaczyć ludzi i niebo błękitne, i sercu mojemu ulżenie wyjeździć.

ZOFIA

Jeśli wam niedobrze, Milady — trzeba zwołać *assemblée*<sup>26</sup>, księcia do stołu zaprosić, albo przed waszą sofą kazać grać lombra. Mnieźby księżę i dwór cały stali na rozkazy, a w głowie mojej miał szumieć kaprys niezaspokojony?

LADY

*rzuca się na sofę*

Zostaw mnie, proszę: dam ci diament za każdą godzinę, w której się ich pozbędę. Czyż ja tą cizbą mam pokoje moje meblować? Ach! To są ludzie źli i godni politowania — przestraszają się jednego słowa, gdy go czułym, gorącym sercem wymówię — krzywią nos i usta, jakby upiora postrzegli. Niewolnicy skaczący po drucie wertepowym, którym ja łatwiej niżli szydełkiem kieruję. Co począć z ludźmi, których dusze tak jednakowe, jak ich zegarki? Jaką przyjemność znajdę zapytywania ich o co, kiedy wiem naprzód, jaką dadzą odpowiedź? Albo prowadzenia rozmowy, kiedy im lekliwość w zdaniu różnić się nie pozwoli. Precz z nimi. — Przykro jeździć na koniu, który nawet uzdy kasać nie umie.

*zbliża się do okna*

ZOFIA

Księcia przynajmniej wyłączysz, Milady — najpiękniejszego człowieka, najognistszego kochanka, w całym kraju głowę najdowcipniejszą.

LADY

*wraca od okna*

Bo to jego kraj się nazywa — a tylko księstwo, Zofio, może służyć gustowi memu za wymówkę. Mówisz, że mi zazdroszą? O! raczej hołota żalić się nade mną powinna. Ze wszystkich ludzi, co się przy piersiach majestatów tuczą, faworyta kończy najgorzej, bo ona jedna o żebraczym kiju, bogaczowi drogę zachodzić będzie! Prawda — on może talizmanem swojej wielkości, każdej żądzы mojego serca, czarowny pałac z pod ziemi wywołać — mój stół sokami dwóch Indii<sup>27</sup> zastawić — w raj pustynię zamienić — w jednym fajerwerku spalić wszystek szpik poddanych swoich — ale swojemu sercu czyż rozkaże wspaniale i ogniście uderzać o moje serce ogniste i wspaniale? Ubogi swój rozum złać w jedno piękne uczucie? Przy szumnym zmysłów upojeniu ja noszę duszę spragnioną — co ja z tysiącem lepszych uczuć pocznę — tam, gdzie tylko dzikie namiętności ugasić się mogą?

ZOFIA

*z zadziwieniem*

Jak dawno, Milady, jestem w twojej służbie?

<sup>26</sup>*assemblée* (fr.) — zebranie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*dwóch Indii* — tj. Indii wschodnich i zachodnich. [przypis edytorski]

LADY

Że dziś mnie tylko poznajesz? — Zofio! Ja mój honor zaprzedałam księciu, chowam wolne serce, godne może człowieka, serce przez które zaraźliwy wiatr dworu przeszedł tylko jak dech po zwierciadle. Wierz mi, kochana, ja bym temu księciu dawno się oparła, gdyby moja duma pozwoliła innej oddać miejsce.

ZOFIA

I to serce tak łatwo dumie się poddało?

LADY

*żywo*

Czy się nie mściło, nie mści się jeszcze? Zofio! *kładąc ręce na jej ramieniu* My kobiety tylko między panowaniem i służbą wybierać możemy; ale władzy rozkosz najwyższa nędzną jest tylko igraszką, gdy nam braknie większego szczęścia — szczęścia być niewolnicą człowieka, którego kochamy.

Kobieta, Niewola

ZOFIA

Jest to prawda, Milady, którą od ciebie najpóźniej usłyszeć myślałam.

LADY

Dlaczego, Zofio? Czyż nie znać po tym dziecinnym wodzeniu berła, żeśmy tylko do paska dziecinnego stworzone? Czyś nie postrzegła po tej kapryśnej lekkości umysłu, po dzikich uciechach, żeś tylko inne pragnienie w duszy mej zagłuszyć usiłowała?

ZOFIA

*cofając się*

Milady!

LADY

Ukój to pragnienie; daj mi męża, o którym marzę, którego ubóstwiam, którego posiadać lub umrzeć muszę. Niechaj posłyszę z ust jego własnych, że łzy miłości piękniej się w naszych oczach błyskają niż brylanty we włosach — a pod nogi księcia rzucę i berło, i serce jego; z tym mężem ucieknę, ucieknę w najdalszą świata pustynię.

ZOFIA

*z przestraszeniem*

Boże! Co robisz? Co wam jest, Milady?

LADY

*pomieszana*

Bledniejsz? — Zanadto może powiedziała — O! Niech ufność moja zawiąże ci mowę — słuchaj dalej, słuchaj wszystkiego.

ZOFIA

Lękam się, Milady — lękam się... słuchać cię dalej nie mogę.

LADY

Związek z majorem — ty i świat rozumiecie, że tylko jest dworu intrygą. Zofio! Nie czerwień się — nie pogardzaj mną — związek ten jest dziełem mojej miłości.

ZOFIA

Przez Boga! — ja przeczuwałam.

LADY

Dali się uwieść — słaby książę, chytry Walter — głupi marszałek — każdy z nich przysięgnie, że w tym małżeństwie jedyny jest sposób zachowania mnie księciu, umocnienia naszego węzła — Tak! Rozdzielenia nas na zawsze, rozerwania na wieki tych łańcuchów hańbiących. Okłamani kłamce! Dali się słabej oszukać kobiecie. Oni mi sami kochanka sprowadzą — tego potrzeba — skoro go otrzymam, skoro będzie moim — żegnaj na zawsze, wystawo ohydna!

## SCENA II

*Poprzedzający.* LOKAJ *stary księcia z pudełkiem brylantów.*

LOKAJ

Jego książęca mość poleca się łasce Milady, i na jej wesele przysyła brylanty właśnie teraz z Wenecji przywiezione.

LADY

*otwiera pudełko i odskakuje przerażona*  
Człowieku! Co książę za te brylanty zapłacił.

LOKAJ

*z posepnym wejrzeniem*  
Nie kosztują go ani złamanego szeląga.

LADY

Co? — nic? Czyś szalony? — i rzucaś na mnie wzrok — jakbyś chciał mnie przeszyć — nic nie kosztują te niezmiernie kosztowne kamienie?

LOKAJ

Wczoraj siedm tysięcy młodzieży krajowej musiało jechać do Ameryki — te siedm tysięcy wszystko zapłaciło.

LADY

*kładzie brylanty i przechadza się szybkim krokiem — po chwili zbliża się*  
Co ci jest, człowieku? — zdaje się, że płaczesz?

LOKAJ

*ociera łzy — straszliwym głosem*  
Dwa brylanty, jak ten — ja mam dwóch synów między porwanymi.

LADY

Ale nie zmuszonych?

LOKAJ

O Boże! — nie — istni ochotnicy! Kilku z nich wprowadzie przed frontem pytało pułkownika jak drogo książę w jarzmo ludzi sprzedaje — ale łaskawy nasz pan kazał wszystkim pułkom na plac się zebrać i śmiazków rozstrzelać. Słysząc huk było i widać, jak mózg ich bruk pofarbował, a wojsko krzyknęło — hejże do Ameryki!

LADY

*rzucając się na sofę*  
Boże mój Boże! A jam nie słyszała, nie wiedziała o niczym?

LOKAJ

Tak — łaskawa pani! Czemu właśnie w tej chwili, gdy na czas do odjazdu w bębny uderzono, jechałeś z księciem na walkę niedźwiedzi — byłabyś świadkiem wspaniałego widowiska: jak jęczące sieroty za ojcem goniły; jak wściekła matka niemowlę od piersi na ostrze bagnetu wsadzała; jak szabli cięciami kochankę z kochankiem rozdzielali; jak starce ze siwymi włosami stali w rozpacz i odjeżdżającym na pożegnanie rzucali szczudła drewniane do nowego świata — a pośród tego grzmiał łoskot bębnów, żeby Bóg modlitw naszych nie usłyszał.

LADY

*powstając w wielkim wzruszeniu*  
Precz z brylantami — z nich piekielne blaski do mego serca wpadają. Utul żal twój, stary człowieku — oni powrócą, obaczą jeszcze ojczyznę.

LOKAJ

Bóg to raczy wiedzieć. U bramy miasta jeszcze się zwrócili i krzyknęli do nas — Bóg z wami żono i dzieci — niech żyje nas książę! Na strasznym sądzie znowu się obaczym.

LADY

Strasznie! Niegodziwie! Przekonać mnie chcieli, żem wszystkie lzy kraju otarła — okropnie — okropnie otwały się oczy. Idź, mów panu, że mu osobiście przyjdę podziękować, *rzucając worek do kapelusza* a to weź dla siebie, żeś mi prawdę powiedział.

LOKAJ

*rzucając kiesę na stół z pogardą*  
Schowaj to z tamtymi —  
*odchodzi*

LADY

*patrząc z podziwieniem za odchodzącym*  
Zofio! Leć za nim — pytaj o nazwisko, powiedz mu, że synów będzie miał na powrót.  
ZOFIA *oddala się* — LADY *w zamyśleniu przechadza się chwilę* — do ZOFII, *która przebiega z powrotem*. Czy nie było wieści, że ogień niedawno zniszczył miasto pograniczne i cztery tysiące familii na żebraczym kiju posadził?  
*dzwoni*

ZOFIA

Skąd to ci przyszło na myśl, Milady? Tak jest istotnie i większa część tych nieszczęśliwych służy wierzycielom swoim za niewolników, albo niszczy w podziemnych srebra kopalniach.

SŁUŻĄCY

*wchodzi*  
Co każe Milady?

LADY

*dając mu brylanty*  
Niech te brylanty do miasta zanoszą, bez zwłoki na gotowe zamienią pieniądze i rozdają je między cztery tysiące ludzi ogniem zniszczonych.

ZOFIA

Zastanów się, Milady, że ci największa grozi niełaska.

LADY

Mamże ja przekleństwo jego poddanych W moich włosach nosić? *na znak SŁUŻĄCY oddala się* Albo pod strasznym ciężarem ich łez upadać? — Lepiej, Zofio, fałszywe brylanty mieć na głowie a w sercu zadowolenie dobrego uczynku.

ZOFIA

Ale takie diamenty — mogłaś, Milady wybrać gorsze — prawdziwie, to nie do darowania.

LADY

Dziewcze nierozsądne! za ten czyn więcej na mnie w jednej chwili pereł i brylantów spadnie, niż się znajduje w dziesięciu królów koronach — i piękniejsze...

SŁUŻĄCY

*wchodząc*  
Major Walter —

ZOFIA

Milady! — błędniejsz...

LADY

Pierwszy człowiek, którego się lękam. *do SŁUŻĄCEGO* Niedobrze mi jest Edwardzie, ale zaczekaj — mów — czy zagniewany? — czy się śmieje? — co powiada? O Zofio! Nieprawdaż, że ja okropnie wyglądam.

ZOFIA

Proszę cię, Milady!...

SŁUŻĄCY

Czy pani rozkażę wizytę odmówić?

LADY

Owszem — z chęcią go przyjmę.

SŁUŻĄCY *odchodzi.*

Zofio! Co ja powiem jemu? Jak go powitam? Czuję, że zaniemieję — a on z mojej niemocy urągać się będzie — będzie — przeczuwam... Chcesz mnie opuścić? Zostań — albo nie, odejź. Zostań jednakże.

MAJOR *ukazuje się z przedpokoju.*

ZOFIA

Zbierz myśli, Milady! Major nadchodzi.

### SCENA III

*Poprzedzający* — FERDYNAND.

FERDYNAND

*po zimnym ukłonie*

Jeżeli przerywam, łaskawa pani?...

LADY

*z widocznym pomieszeniem*

W niczym, majorze, co by dla mnie ważniejszym było.

FERDYNAND

Przychodzę z rozkazu ojca mojego.

LADY

Wdzięczną mu jestem.

FERDYNAND

I mam ci oznajmić nasze ożenienie. Taka jest wola mego ojca.

LADY

*drżąc i bledniejąc*

A więc nie serca twojego?

FERDYNAND

Świat i minister serca nie zwykł się pytać.

LADY

*zaledwie słowa wymawiając*

Ty sam, majorze, nic nie masz do dodania?

FERDYNAND

*spozierając na pokojową*

Bardzo wiele, Milady!

LADY

*dając znak ZOFII aby się oddaliła*

Czy mogę? — proszę — usiądź na tej sofie?

FERDYNAND

Krótko skończę, Milady.

LADY

A więc? —

FERDYNAND

Jestem człowiekiem honoru.

LADY

Umiem go szacować.

FERDYNDAND  
Szlachcicem.

LADY  
Najzaciejszym w państwie.

FERDYNDAND  
I oficerem.

LADY  
Dotykasz tych zalet, które wielu służą. Czemuż przemilczasz o piękniejszych — tobie tylko właściwych?

FERDYNDAND  
Bo tu mi nie są potrzebne.

LADY  
*z coraz miększą niespokojnością*  
Jak mam te słowa, majorze uważać?

FERDYNDAND  
Jako zarzut honoru, jeżeli rękę moją zmusić zechcesz.

LADY  
*w gniewie*  
Co to jest, majorze?

FERDYNDAND  
*spokojnie*  
Mowa mego serca — mego herbu i tej mejej szpady.

LADY  
Szpadę masz od księcia.

FERDYNDAND  
Przez ręce księcia ojczyzna ją dała. — Serce dał mi Bóg — a herb pół wieku.

LADY  
Imię księcia...

FERDYNDAND  
Książę nie jest mocny prawa ludzkości wywracać, albo kuć czyny w mennicy jak proste trojaki? Nad honor on nie jest wyższym — głos tylko honoru może zapchać złotem, na hańbę rzucić swoje gronostaje. Nic więcej o tym, Milady! Zamilknę o moich widokach, o przodkach moich — nie wspomnę ani o szpadzie, ani o zdaniu światowym. To wszystko nogami gotów jestem zdeptać, skoro Milady dowieść mi zechcesz, że nagroda nie gorsza od ofiary będzie.

LADY  
*Z boleścią oddalając się kilka kroków*  
Na to, majorze! — na tom nie zasłużyła.

FERDYNDAND  
*porywa ją za rękę*  
Przebac mi. Mówimy bez żadnego świadka. Okoliczność, która mnie i ciebie, dziś i nigdy więcej, przed oczy sprowadza, daje mi prawo i zmusza najtajniejsze uczucia przed tobą wyjawić. Nie przyszłoby mi na myśl, Milady, że kobieta z tym sercem i tym rozumem — z tymi przymiotami, które by człowiek godny ocenić potrafił, oddała się księciu pleć jej tylko podziwiałemu — gdyby ta kobieta nie miała wstydu z ofiarą serca swego występować.

LADY  
*dumnie na twarz jego spoglądając*  
Dokończ zupełnie.

FERDYNAND

Mienisz się Angielką — przebac, ja wierzyć nie mogę, żebyś ty Angielką była. Wolno urodzona córka najwolniejszego pod słońcem narodu, za dumna obcej cnotcie hołdować, niezdolną by była obcej zbrodni się wynająć. Ty nie jesteś Angielką, albo serce u Angielki tym nikczemniej bije, im wspanialej i śmieiej krew Anglii uderza.

LADY

Skończyłeś?

FERDYNAND

Można by na uniewinnienie przytoczyć tu: próżność — namiętność — żywą krew — skłonność do uciech — cnotę tyle razy honor przeżywającą. Można by wspomnieć o kobietach, które na tej drodze hańby szlachetnymi czynnościami z światem się pogodziły i bezwstydnym rzemiosło uszlachetniły pięknym użyciem — ale skądże ten niesłychany ucisk kraju, który nigdy nie istniał? Skończyłem.

LADY

*łagodnie i z grzecznością*

Pierwszy raz, Walterze, taką mowę słyszę i ty jesteś jedyny człowiek, któremu odpowiem. Że moją rękę odrzucasz — szanuję ciebie; że moje serce obrażasz, przebaczam — ale że jak mówisz, tak myślisz istotnie, temu nie uwierzę. Kto się ośmiela w ten sposób znieważać kobietę, która nie więcej jak jednej nocy potrzebuje, aby go zniszczyć, zgubić zupełnie — musi tej kobiecie albo wielkość duszy przyznawać, albo być szalonym. Że kraju zniszczenie na pierś moją zwalasz — niechaj ci przebaczy Bóg wszechmogący, który kiedyś i mnie, i ciebie, i księcia przed sąd swój zawoła — aleś ty Angielkę we mnie zapozwał — na taki wyrzut ojczyzna moja musi odpowiedzieć.

Patriota

FERDYNAND

*opierając się na szpadzie*

Jestem ciekawy.

LADY

Słuchaj więc, czego nikt jeszcze ode mnie nie słyszał, czego, prócz ciebie, nikomu z ludzi nie powierzę. Walterze! ja nie jestem awanturnicą, jaką mnie być mienisz — jestem krwi książęcej, z nieszczęśliwego rodu Tomasza Norfolka, który padł ofiarą przywiązania do Marii Szkockiej. Mój ojciec, kanclerz najwyższy króla, podejrzany o znowę z Francją, wyrokiem parlamentu poniósł głowę na rusztowanie. Dobra nasze zabrano, my na wygnanie skazani. W dzień wyroku matka mi umarła, a ja, czternastoletnia sierota, uciekłam do Niemiec z piastunką moją, ze skrzynką brylantów i z tym krzyżem, który mi matka umierająca z błogosławieństwem na pierś zawiesiła.

FERDYNAND

*zamyślony czule spogląda na LADY*

LADY

Słaba, bez imienia, bez majątku i opieki — sierota cudzego kraju, przybyłam do Hamburga. Trochę po francusku, haftować, grać na fortepianie — to była cała moja umiejętność — ale tym lepiej wiedziałam, jak na srebrze i złocie ucztować, jak pod adamaszkowym sypiać pawilonem, jednym skinieniem dziesięciu sługom kazać się uwijać, jak słuchać pochlebstw ludzi twojego stanu. Minęło sześć lat przepłakanych — zniknęła ostatnia spinka brylantowa — piastunka umarła i los waszego księcia do Hamburga sprowadził. W wieczornej przechadzce, nad brzegami Elby, patrzyłam na rzekę i marzyć zaczęłam, czy jej wody czy moje cierpienia głębsze mają łożę? Książę mnie obaczył, ścigał, odkrył moje mieszkanie i u nóg moich wieczną miłość zaprzysiął. *Przestaje na chwilę, potem kończy ze tkaniem.* Wszystkie obrazy szczęśliwego dzieciństwa obudziły się znowu w uwodzących blaskach — czarna jak groby straszyla mnie przyszłość — serce serca pragnęło — upadłam w jego objęcia. Teraz mnie potępiaj.

FERDYNAND

*w poruszeniu zbliża się do niej*

Milady! — o nieba — co słyszę? — cóżem ja uczynił? Widzę okropne moje zuchwałstwo — ty mi nie możesz nigdy przebaczyć.

LADY

Posłuchaj dalej. Książę napadł moją młodość bezbronną, ale krew Norfolków podniosła się we mnie: „Ty, Emilio, księżniczką urodzona, masz być księcia nałożnicą.” Duma i los walczyły w sercu moim — aż tu sprowadzona, przed oczami okropny obraz postzegłam. Rozpusta możnych tej ziemi jest to nigdy nienasycona hiena w głodzie ofiar szukająca, straszliwe po tym kraju szpony zapuściła; narzeczoną parę rozdzielała, rozdarła nawet święty związek małżeństwa. Tu ciche szczęście rodziny podkopane; tam młode, niedoświadczone serce, wszystko niszczącą zarazą ujęte — umierające ofiary w przekleństwach i konwulsjach, pieniącymi się ustami wyjękiwały imiona zwodzicieli. Pomiędzy tygrysem i jagniątkiem ja stanęłam, Walterze! W namiętnej godzinie wymogłam przy sięgę na księciu i okropne ofiary ustać musiały w kraju.

FERDYNAND

*w najwyższej niespokojności przebiega salę*  
Nic więcej, Milady! Na Boga, nic więcej.

LADY

Smutna ta epoka smutniejszej jeszcze ustąpiła miejsca. Dwór i jego seraj<sup>28</sup> napęlił się rojem włoskich wyrzutków. Lekkomysłne paryżanki jak cackiem igrały berłem księżęcym, a lud krwią się oblewał pod ich kaprysami. Wszystkie przeżyły własny upadek. Widziałam je w prochu przede mną padające; bom większą kokietą była niżli wszystkie. Odebrałam wodze tyranowi, który rozkosznie usnął w moim objęciu. Twoja ojczyzna, Walterze, po pierwszy raz rękę ludzką uczuła i z ufnością dziecka padła na łono moje. *Po chwili*. O, jak boleśnie sercu, że człowiek jedyny, któremu bym znaną być chciała, zmusza mnie samolubnie się chełpić, moją cichą cnotę światłem podziwienia zapalać. Walterze! Jam kraty więzień rozłamywała, zdzierając śmierci wyroki i nie jedną wieczność okropną galer skróciła. W niezagojone rany uśmierający balsam wlewałam — w prochu potężnego zbrodniarza układałam, łzę nierządnicę zbawiłam przegraną już sprawę niewinności. Jak mi słodko było, młodzieńcze! Jak dumnie mogłam sercem każdy wyrzut księżęcego urodzenia odeprzeć — a dzisiaj przychodzi człowiek, którego może los zmordowany przesładowaniem jako nagrodę przeszłych moich cierpień utworzył — człowiek, którego palącą tęsknotą w sennych marzeniach już obejmowałam —

FERDYNAND

*na wskroś poruszony przerywa jej*  
Za wiele, za wiele! To nad umowę Milady! Miałaś się z zarzutów oczyścić — a chcesz występno ze mnie uczynić. Zlituj się — zaklinam cię — zlituj się nad sercem moim, szarpanym wstydem i żalością.

LADY

*trzymając jego rękę*  
Teraz lub nigdy! Dosyć już bohaterka walczyć musiała. Wagę łez tych bolesnych musisz uczuć, Walterze! — słuchaj: gdyby nieszczęśliwa, niewstrzymanie, potężnie ku tobie pędzona z piersią pełną ognistej, niewyczerpanej miłości do ciebie się cisnęła — a ty jej zimne słowo honoru wymawiał — gdyby ta nieszczęśliwa, przygnębiona uczuciem swojej zniewagi, zbrodnią przesycona, sławą cnoty bohatersko natchnięta — ot tak — w twoje się objęcia rzucała *obejmuje go* i przez ciebie zbawioną, przez ciebie niebu znowu chciała być oddaną — albo *drżącym głosem i twarzą odwracając* dla uniknięcia twojego obrazu, posłuszna straszemu głosowi rozpaczy, jeszcze się w ohydniejszą głąb zbrodni zagrzebała...

FERDYNAND

*wyrzuwając się jej z najżywszym uczuciem żalu*  
Nie! Przez Boga wielkiego, ja dłużej nie wytrzymam. Niechaj niebo i ziemia na moje piersi upadną — ja ci muszę, Milady, wyznanie uczynić.

<sup>28</sup>seraj — rezydencja sultana. [przypis edytorski]



LADY

Teraz nie! teraz nie — przez wszystko, co święte. Nie w tej straszliwej chwili, gdy serce moje rozdarte krwawi się pod razami tysiąca sztyletów. Śmierć czy życie — ja nie śmiem, ja nie chcę nic od ciebie słyszeć.

FERDYNAND

Ale — ty musisz, najlepsza Milady! Co ci powiem, umniejszy karygodną winę i przeszłej obrazę będzie przebląganiem. Zwiodłem się na tobie. Myślałem — życzyłem znaleźć cię godną pogardy mojej. Z mocnym postanowieniem znieważenia ciebie, ściągnięcia twojej nienawiści przyszedłem w to miejsce! Szczęśliwi bylibyśmy oboje, gdyby mój zamiar przyszedł był do skutku *chwila milczenia* — potem *głosem cichszym i nieśmielszym* — ja kocham, Milady — kocham mieszczańkę, Ludwikę Miller, córkę kapelmajstra. LADY *pobladła odwraca się od niego*. Wiem, w jaką przepaść lecę — ale jeżeli rozsądek może milczenie nakazać namiętności, to obowiązek tym donośniejszym głosem przemawia. Przewiniłem. Jam najpierwszy rozdarł złotą spokojność jej niewinności, zuchwałymi nadziejami kołysałem jej serce i oddałem go na pastwę dzikim namiętnościom. Przypomnij mi zapewne mój stan, moje urodzenie, zasady ojca mojego — ale ja kocham. Moje nadzieje tym wyżej się wznoszą, im głębiej natura w zimne przyzwoitości zapada. Moje postanowienie i przesąd! — Obaczę, czy moda, czy ludzkość zwycięstwo odniesie. LADY *tym czasem oddaliła się do najdalszej części salonu i twarz sobie obciera, rękami zakrywa*. FERDYNAND *idzie aż do niej*. Miałaś mi coś mówić, Milady!

LADY

Nic, panie, Walterze! Nic — jak tylko, że siebie i mnie i trzecią jeszcze osobę do zguby prowadzisz.

FERDYNAND

I trzecią osobę?

LADY

My nie możemy być z sobą szczęśliwi — a jednak pośpiechu ojca twojego staniemy się ofiarą. Nigdy nie posiędę serca człowieka, który mi rękę swoją z musu tylko oddaje.

FERDYNAND

Z musu Milady? — z musu i oddaje? Czy ze chcesz rękę przymuszać bez serca, wydzierając kochanka dziewczynie, która w nim ma świat cały — kochankowi dziewczę, które mu świat cały stanowi? Ty, Milady? — przed chwilą godna podziwienia Angielka — Ty byś mogła?

LADY

Bo muszę. Moja namiętność, Walterze, ustąpi przywiązaniu dla ciebie, ale mój honor nigdy. Nasz związek na ustach jest całego kraju — wszystkie oczy, pociski dowcipu na nas są wymierzone. Zniewaga będzie niezatarta, gdy mnie poddany ksiądz odrzuci. Urządź się z ojcem twoim — broń się, jak możesz — ja wszystkie miny w górę wysadzę.

*Odchodzi spiesznie — MAJOR zostaje czas jakiś w niemym osłupieniu, potem przez drzwi środkowe prędko wylatuje.*

## SCENA IV

*Pokój w domu MILLERA.*

MILLER. ŻONA. LUDWIKA. *wchodzą.*

MILLER

*szybko chodząc po pokoju*

Wszakże przepowiadałem.

LUDWIKA

*z niespokojnością idąc za nim*

O czym? — Ojcie! O czym?

MILLER

*rzucając się na wszystkie strony*

Mój surdut niedzielny — prędko — muszę go uprzedzić. Białą z manszetskami koszulę. Zaraz tak myślałem.

LUDWIKA  
Na imię Boga! Co?

ŻONA  
Cóż się stało? Cóż się stało?

MILLER  
Perukę do fryzjera — co się dzieje? *idzie przed lustro* i broda moja na palec już długa. Co się dzieje? — co się dziać będzie? — chcesz wiedzieć, ty ścierwo krucze — oto diabeł wyleciał, i wichur cię porwie!

ŻONA  
Patrzajcie! Zaraz wszystko na mnie spaść musi.

MILLER  
Na ciebie? — a na kogóż innego ty głupi pysku petliczy<sup>29</sup>. Dzisiaj rano z twoim szatańskim paniczem — czyżem zaraz nie mówił? — Wurm wszystko wypaplał.

ŻONA  
Co? — ach! — jakże możesz wiedzieć?

MILLER  
Jak mogę wiedzieć? — ot tam, pod drzwiami, stoi pacholek ministra i pyta się o muzykusa.

LUDWIKA  
Ach! Ja śmierć czuję.

MILLER  
I ty także, z twymi oczami niezapominajkowymi! *śmieje się* Prawda to jednakże: komu diabeł chce jajo w komorze posadzić, niechaj się piękna córka urodzi — ot czarno na białym.

ŻONA  
Skąd wiesz, że to się Ludwiki dotyczy? Może cię księżciu kto rekomendował i do dworskiej orkiestry chcą cię zamówić.

MILLER  
*biegając za laską*  
Ach! żeby cię siarczany deszcz Sodomy napadł — tak! do orkiestry, gdzie ty, kuplerko, dyszkantem wyciągniesz, a moje sine plecy będą kontrabasem. *Rzuca się na krzesło.* Ach — Boże na niebie!

LUDWIKA  
*jak śmierć blada pada na krzesło*  
Ojczy! Matko! Dlaczego taki strach mnie przejął?

MILLER  
*porywając się z krzesła*  
Ale niechże mi ten gryzmoła raz pod ręce wpadnie — toż mi będzie skakać — na tym czy na tamtym świecie — ja mu ciało i duszę w kosteczki połamię, dziesięcioro przykazań i siedm próśb ojczenaszu i wszystkie księgi Mojżesza, proroków na skórze wypiszę, tak że sine plamy przy ciał zmartwychwstaniu jeszcze widać będzie.

ŻONA  
Klnij i hałasuj, to diabła nie wygna. Dopomóż, święty synu Boży. Co począć w tej bidzie? gdzie rady poszukać? Mówże, ojczy Millerze!  
*Biega po pokoju, głośno łkając.*

---

<sup>29</sup>petliczy (daw.) — gadatliwy. [przypis edytorski]

MILLER

Zaraz idę do ministra — ja tu sam otworzę gębę, sam będę oskarżać. Wiedziałaś przede mną, trzeba było ostrzec, a dziewczyna by pewnie przekonać się dała. Był czas — ale nie! — coś się złowić, coś się udrzeć dało. Nawarzyłaś piwa. Pilnujże teraz skóry twej kuplerskiej, żryj, coś nagotowała. Ja pod rękę zabieram Ludwikę i marsz przez granicę!

## SCENA V

FERDYNAND. WALTER wpada przestraszony i bez oddechu *Poprzedzający*.

FERDYNAND

Był tu mój ojciec?

LUDWIKA

Jego ojciec? — przedwieczny Boże!

ŻONA

*[mówi jednocześnie z dalszymi kwestiami MILLERA i FERDYNANDA — Red. WL] zalamując ręce*

Prezydent! to już do nas!

MILLER

Chwała Bogu! chwała Bogu! mamy postrzyżyny.

FERDYNAND

*bieży do LUDWIKI i silnie ją do serca przyciska*

Ty moja jesteś — choćby się nieba i piekło między nas rzuciły.

LUDWIKA

Moja śmierć nieuchronna — mów dalej — ty straszne imię wymówiłeś — twój ojciec?

FERDYNAND

Nic! Nic! Wszystko zwyciężone. Znowu cię posiadam — i tyś mnie odzyskała. Pozwól, niech odetchnę. To była straszna — straszna godzina!

LUDWIKA

Jaka? — Zabijasz mnie.

FERDYNAND

To była godzina, Ludwiko, w której się między sercem moim a tobą obca postać rzuciła — gdzie miłość moja przed sumieniem zbladła — gdzie Ludwika Ferdynandowi przestała być wszystkim.

LUDWIKA

*pada na krzesło, zasłaniając twarz*

FERDYNAND

*bieży do niej, patrzy czas niejaki osłupiałym wzrokiem, potem opuszcza ją i z wielkim poruszeniem mówi*

Nie! Nigdy Lady! Za wiele wyciągasz. Ja ci tej niewinności poświęcić nie mogę. Nie! Przez Boga nieskończonego, nie mogę złamać przysięgi, która mnie z jej martwego oka piorunem nieba głośno napomina. Patrzaj tu Milady — tu patrz ojcze. Mamże ja anioła tego zamordować? piekło cisnąć w tę niebiańską duszę? *zbliżając się do niej* Ja cię przed tron zaprowadzę Boga; niech przedwieczny osądzi, czy moja miłość jest zbrodnią. *bierze ją za rękę i podnosi z krzesła* Uspokój się, najdroższa! Przy tobie wygrana — jako zwycięzca z najniebezpieczniejszej walki przychodzę.

LUDWIKA

Nie! Nie, nic mi nie ukrywaj. Powiedz wyrok straszny. Wspomniałeś o ojcu, wspomniałeś o Lady? Dreszcz mi nie śmierci przejął — mówią, że ma iść za męża.

FERDYNAND

*padając do nóg LUDWIKI*

Za mnie, nieszczęśliwa!

LUDWIKA

*po chwili ze straszną niespokojnością*

I czegoż się lękam. — Ot ten stary człowiek często mi powtarzał — ja wierzyć nie chciałam. *rzuca się ze łkaniem w objęcia ojcowskie* Ojczy, twoja córka powraca — daruj jej — dziecko twoje niewinne, że sen — był tak piękny — a takie straszne przebudzenie.

Ojciec, Córka

MILLER

Ludwiko! Ludwiko! O Boże, ona od zmysłów odchodzi. Córko moja? dziecię moje biedne! Przekleństwo na zwoźdiciela, przekleństwo na kobietę, co córkę zwoździła!

ŻONA

*rzucając się z płaczem w objęcia LUDWIKI*

Czyż ja na tę kłatwę, córko moja, mogłam zasłużyć? Niechaj ci Bóg przebaczy, baronie! Co ci to jagnię zrobiło, że go tak zabijasz?

FERDYNAND

Ale ja jego intrygi zniweczę — rozerwę wszystkie żelazne ogniwa przesądu. Wolno jak człowiek wybiorę i olbrzymim dziełem miłości mojej zawrócę głowy tym pełzającym owadom.

*Chce odejść.*

LUDWIKA

*z drżeniem powstaje z krzesła*

Zostań! Zostań, gdzie chcesz odchodzić? Ojczy! Matko! W tej strasznej godzinie on chce nas opuścić.

ŻONA

*czepiając się MAJORA*

Prezydent tu przyjdzie — znieważać będzie dziecko nasze — nas będzie znieważać — a ty nas rzucasz, panie WALTERZE?

MILLER

*śmiejąc się wściekle*

Rzuca nas? — Zapewne! Dlaczego nie? Ona mu wszystko oddała! *Jedną ręką majora, drugą chwytając LUDWIKĘ.* Cierpliwości, mój panie — droga z mojego domu przez moją córkę przechodzi. Czekaj tu na ojca, jeżeli jesteś uczciwym człowiekiem. Opowiedz mu, jak się do jej serca wkradłeś — oszukańcze — albo na Boga! *rzucając mu córkę* musisz wprzódy podeptać tego jęczącego robaka, którego miłość dla ciebie wstydem okrywa.

FERDYNAND

*powraca i w głębokich przechadza się myślach*

Wprawdzie wielką jest władza prezydenta. Prawo ojcowskie ma szerokie znaczenie — zbrodnia nawet w jego się fałdy owinie — z nim on może wiele, wiele uczynić — ale do ostateczności miłość tylko prowadzi. Tu chodź, Ludwiko! dłoń w mojej dłoni *bierze ją.* Jak pragnę, żeby w ostatniej godzinie Bóg mnie nie opuścił — chwila, która te dwie dłonie rozerwie, rozerwie zarazem łańcuch pomiędzy mną i stworzeniem.

LUDWIKA

Mnie bojaźń przyjmuje — nie patrz na mnie — twoje usta drżą — twój wzrok zatacza się straszliwie.

FERDYNAND

Nie — Ludwiko! nie lękaj się. Nie szaleństwo ze mnie przemawia, dar to najkosztowniejszy nieba, postanowienie w ważnej chwili życia, gdzie pierś uciśniona tylko niesłychanym sposobem wciąga oddech do siebie. Kocham cię Ludwiko! będziesz moją — a teraz do ojca.

*U drzwi wpada na PREZYDENTA.*

## SCENA VI

PREZYDENT *ze świtą sług. Poprzedzający.*

PREZYDENT

Już tu jest!

FERDYNAND

W domu niewinności!

PREZYDENT

Gdzie syn się uczy posłuszeństwa ojcu.

FERDYNAND

Pozwól nam tylko...

PREZYDENT

*przelewając mu i do MILLERA*

Asan<sup>30</sup> jesteś ojciec?

MILLER

Kapelmajster miasta Miller.

PREZYDENT

Asani matka?

ŻONA

Ach! tak — matka!

FERDYNAND

*do MILLERA*

Ojcie! Wyprowadź córkę — jej niemoc grozi.

PREZYDENT

Zbyteczna troskliwość! — zaraz ją ocucę. *Do LUDWIKI.* Jak dawno znasz asanna syna prezydenta.

LUDWIKA

Syna prezydenta nie znałam — Ferdynand Walter nawiedza mnie od listopada.

FERDYNAND

I ubóstwia.

PREZYDENT

Miałaś przyrzeczenia?

FERDYNAND

Przed niedawną chwilą najuroczystsze w obliczu Boga.

PREZYDENT

*z gniewem do syna*

Zawołają cię zaraz do spowiedzi twojego szaleństwa. *Do LUDWIKI.* Czekam na odpowiedź.

LUDWIKA

Przysiągł mi miłość.

FERDYNAND

I dotrzyma.

PREZYDENT

Czy mam ci wyraźnie nakazać milczenie. — *do LUDWIKI* Przyjęłaś przysięgę?

LUDWIKA

*czule*

---

<sup>30</sup> *asan* (daw.) — waćpan, waszmość pan. [przypis edytorski]

Dałam wzajemną.

FERDYNAND  
Związek zawarty!

PREZYDENT  
Echo przez okno wyrzucić rozkazę, *do* LUDWIKI Jednakże gotówką każdą razą płacił.

LUDWIKA  
*po namyśle*  
Tego pytania nie rozumiem wcale.

PREZYDENT  
Nie? — no ja sędzę tylko, że każde rzemiosło ma złotą podstawę — i asanna bez wątpienia darmo faworów swoich nie rozdajesz — czy może sam skutek wszystko zaspokoił?  
— Co?

FERDYNAND  
Piekło! — co to znaczy?

LUDWIKA  
*do MAJORA z powagą i niechęcią*  
Panie majorze! Od dziś jesteś wolny.

FERDYNAND  
Ojeze! W żebraczej nawet sukni cnota nakazuje szacunek.

PREZYDENT  
*z głośnym śmiechem*  
Zabawne żądanie! Ojciec ma szanować syna nałożnicę.

LUDWIKA  
*padając*  
Niebiosa i ziemio!

FERDYNAND  
*trzymając jedną ręką LUDWIKĘ, drugą dobywa szpady na ojca — upuszcza ją jednak natychmiast*

Ojcze! Miałeś raz prawo życia mego żądać — dług zapłacony. Kwit na obowiązek dziecka tu leży rozdarty.

MILLER  
*który dotąd przelękniony stał na boku, zbliża się do PREZYDENTA w iywem poruszeniu z gniewu zębami zgrzytając*

Panie prezydencie! — dziecko jest dziełem ojca — z przeproszeniem pana — kto dziecko znieważa, ojca ciągnie za ucho. Szczutek za szczutek<sup>31</sup> — to u nas moneta, z przeproszeniem pana!

ŻONA  
Ratuj nas, panie i zbawicielu — stary już zaczyna — na naszą głowę spadnie cała burza.

PREZYDENT  
*który mowę MILLERA na pół tylko słyszał*  
I kupler się rusza — zaraz pomówimy z sobą, kuplerze!

MILLER  
Z przeproszeniem pana nazywam się Miller — jeżeli *Adagio*<sup>32</sup> wola posłyszeć... kuplerstwem się nie trudnię. Póki dwór podostatkiem ma tego towaru, liwerunek<sup>33</sup> do mieszczań tak prędko nie przyjdzie z przeproszeniem pana!

<sup>31</sup>szczutek (daw.) — prztyczek. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>adagio — utwór muzyczny w powolnym tempie. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>liwerunek (daw.) — podatek, zwykle w naturze, na utrzymanie wojska. [przypis edytorski]

ŻONA

Na imię Boga, człowieku! Żonę i dziecko gubisz.

FERDYNAND

Grasz tu rolę, mój ojcze, przy której świadków przynajmniej nie trzeba było sprowadzać.

MILLER

*zbliża się do PREZYDENTA*

Po niemiecku i wyraźnie, z przeproszeniem pana! Jego wielmożność rozkazuje i rządzi w kraju — a ja w mojej izbie. Uniżony mój ukłon, jeżeli kiedyś *pro memoria*<sup>34</sup> przyniosę — ale niegrzecznego gościa mam zwyczaj za drzwi wypychać, z przeproszeniem pana.

PREZYDENT

*z gniewu bledniejąc*

Jak to? Co to jest?

*zbliża się ku niemu*

MILLER

Takie moje zdanie — z przeproszeniem pana.

PREZYDENT

*w wściekłości*

Ha, niegodziwce! Zdanie twoje do więzienia zaprowadzi — precz! przywołać tu straż. *niektórzy ze sług odchodzą*, PREZYDENT *w gniewie przebiega izbę* Ojciec do więzienia, pod pręgierz matka z córką nierządnicą. Mojej wściekłości sąd ramienia użyczy. Za taką znie wagę muszę mieć straszne zadostycuczynienie. Hołota ta będzie moje plany niweczyć, bezkarnie syna z ojcem rozdzielać. Ha, przekłęci! Moją nienawiść ja waszym upadkiem nasycę — cały plód — ojca, matkę i córkę palącej zemście mojej poświęcę.

FERDYNAND

*idzie pomiędzy nich*

Nie lękajcie się — ja tu jestem z wami. *do PREZYDENTA* Żadnego pospiechu, mój ojcze! Żadnego gwałtu, jeśli sam siebie cenisz. Jest jedno miejsce w moim sercu, gdzie słowo Ojciec nie było jeszcze słyszane; do tego miejsca nie posuwaj ojcze!

PREZYDENT

Niegodziwy! Milcz! Mojego gniewu nie rozdrażniaj.

MILLER

*obudzony z głuchego zamyślenia*

Żono! pilnuj dziecka. Ja biegnę do księcia. Leibszneider — Bóg mnie natchnął — krawiec nadworny na flecie bierze lekcje u mnie — musi być przy księciu.

*Chce odejść.*

PREZYDENT

Do księcia, powiadasz? Zapominasz, że ja jestem progiem, przez który przeskoczyć potrzeba, albo szyję złamać. Do księcia, barania głowo? Spróbuj, ale gdy w podziemne więzienie, na wysokość wieży do głębi cię spuszczę i żywo-umarły obaczysz, jak piekło z nocą oczkują światło i głos przepada. Dzwon wtenczas łańcuchem i skowycz: *za wiele na mnie, za wiele!*

## SCENA VII

STRAŻ — *Poprzedzający.*

FERDYNAND

*bieży do LUDWIKI, która na wpół umarła na ręce mu pada*

Ludwiko! Pomocy! Ratunku — przestrasz ją obalił.

MILLER

*porywa swoją trzcinę biszpańską, nadziewa kapelusz i chce wychodzić*

<sup>34</sup>*pro memoria* (łac.) — upominek (dosł.: dla pamięci). [przypis edytorski]

ŻONA

*pada na kolana przed PREZYDENTEM*

PREZYDENT

*do STRAŻY odchylając gwiazdę*

Bierzcie w imieniu księcia! Młokosie, precz mi od dziewczyny. Niech no na szyi żelazną obrożę poczuje, kamieniami ją prędko ocucą z omdlenia.

ŻONA

*na kolanach*

Litości, jasnie oświecony panie! Litości! Litości!

MILLER

*podnosząc ŻONĘ*

Przed Bogiem klękaj, stara czarownico, ale nie przed — że tak powiem — łotrem. Bo już w każdym razie pójdę do więzienia.

PREZYDENT

*gryząc usta*

Możesz się mylić, niecnoto! Szubienice stoją gotowe *do STRAŻY*. Czy mam powtarzać? STRAŻ *chce się zbliżyć do LUDWIKI*.

FERDYNAND

*bieży do niej i zasłania piersiami*

Kto się waży? *szpadą niedobytą z pochwy broni przystępu* — Śmieję ją dotknąć, jeżeli z sobą i czaszkę sądowi wynająłeś *do PREZYDENTA*. Szanuj siebie, mój ojcze! — nie zmuszaj mnie do ostateczności.

PREZYDENT

*grożąc STRAŻY*

Piecuchy! — jeśli wam chleb wasz drogi!

STRAŻ *bieży do LUDWIKI*.

FERDYNAND

Na śmierć i piekło! Precz stąd, powiadam! Zlituj się nad sobą, nie przyprowadzaj mnie do ostateczności, ojcze!

PREZYDENT

*w gniewie do STRAŻY*

Czy taka wasza służba, hultaje!

STRAŻ *z większą usilnością*.

FERDYNAND

Gdy tak być musi, *dobywa szpady i kaleczy kilku* to przebacz mi, sądowa sprawiedliwości!

PREZYDENT

*w wściekłym gniewie*

Muszę obaczyć, czy na mnie także ta szpada uderzy.

*porywa LUDWIKĘ i oddaje STRAŻY*

FERDYNAND

*ze śmiechem rozpaczy*

Ojcze! ojcze! Gryzący paszkwil wydajesz na Boga, który ludzi swych nie zna i z katów doskonałych złych robi ministrów.

PREZYDENT

*do SŁUG*

Wynieście ją.

FERDYNAND

Ojcze! dziewczyna pod pręgierzem stanie, ale i major — syn prezydenta!... obstajesz przy swoim?



PREZYDENT

Tym zabawniejsze będzie widowisko. Precz!

FERDYNAND

Ojczy! Szpadę moją oficerską postawię obok dziewczyny. — Obstajesz przy swoim?

PREZYDENT

Przy twoim boku szpada poznała już pługierz. — *do sŁUG* Precz! Precz, zacie moją wolę.

FERDYNAND

*oddala jednego ze straży, bierze LUDWIKĘ jedną ręką, drugą szpadę*

Ojczy! Nim moją małżonkę znieważysz — ja ją przebiję. Obstajesz przy swoim?

PREZYDENT

Przebij — jeżeli klinga jak twój język ostra.

FERDYNAND

*opuszcza rękę LUDWIKI i strasznym wzrokiem patrzy na niebo*

Boże wszechmogący! Ty byłeś świadkiem, że wszystkich świadków ludzkich na próżno używałem — teraz się muszę do szatańskich udać. Prowadźcie ją pod pługierz, ja tymczasem *do ucha* PREZYDENTA opowiem całej stolicy sposób, w jaki można prezydentem zostać.

*Odchodzi.*

PREZYDENT

*jak od pioruna rażony*

Co to jest? — Ferdynandzie! Puśćcie ją wolno.

*Spiesz się za MAJOREM.*

# AKT III

*Sala u PREZYDENTA.*

PREZYDENT i WURM.

PREZYDENT

Plan przekłęcie zniweczony!

WURM

Tegom się obawiał, łaskawy panie! — gwałt rozdrażnia zapaleńca, lecz go nie poprawia.

PREZYDENT

Zupełną ufność w tym napadzie miałem. Zdało mi się, że skoro dziewczyna będzie znieważona, on jako oficer ustąpić musi.

WURM

Wybornie! Ale też zniewaga musiała nastąpić.

PREZYDENT

Jednakże, gdy rzecz całą z zimną krwią rozważam — nie powinienem był dawać baczenia na jego pogroźkę której by nigdy nie śmiał skutecznie.

WURM

Nie myślisz tak, panie. Rozdrażnionej namiętności każdy szal ponętny. Mówisz panie, że major na rządy twoje zawsze krzywił głowę. Wierzę bardzo. Z akademii przejęte zasady w samych początkach nie mogły mi przystać; bo co znaczyć mogły te fantastyczne marzenia o wielkości duszy na dworze, gdzie największa mądrość spoczywa w umiejętności pokazywania się małym i wielkim z wymierzonym taktem i w sposób układny? Syn twój, panie, zanadto jest młody i zanadto gorący aby smakować mógł w powolnym i zwrotnym biegu intrygi — a jego dumę tylko to, co wielkie i połączone z niebezpieczeństwem może wznieść potężnie.

PREZYDENT

*z nieukontentowaniem*

Ale co twoje mądre uwagi w naszym dziele pomogą?

WURM

Wskaż ranę, a może i lekarstwo znajdą. Daruj, jaśnie oświecony panie, ale takiego człowieka nie trzeba było za powiernika wybierać, albo go nieprzyjacielem swoim robić. Dotychczas może syn tylko wiązał usta przeniwiercy. Daj mu powód zrzucenia tego tytułu, niech obrażona namiętność szepnie mu, że ty ojcem czułym nie jesteś — a obowiązki obywatela wystąpią naprzód. Sama myśl szczególna, zanieśienia na ołtarz sprawiedliwości nadzwyczajnej ofiary, mogłaby mieć dosyć ponęty w jego duszy własnego ojca poświęcić.

PREZYDENT

Wurmie! Wurmie! Nad okropną przepaść mnie zawodzisz.

WURM

Wyprowadzę cię stamtąd, łaskawy panie! Mogę mówić śmiało?

PREZYDENT

*siadając*

Jak potępiony do potępionego.

WURM

Daruj więc, panie — ale mi się zdaje, że wiotkiej sztuce dworactwa winien jesteś prezydenturę — dla czegoż jej ojca nie zwierzysz. Przypominam sobie, z jaką szczerą otwartością namówiłeś poprzednika swego na rumel-pikietę<sup>35</sup> i pół nocy raczyłeś go przyjazną mową i szumnym burgundem<sup>36</sup>, a jednak było to tej samej nocy, gdy wielka

<sup>35</sup>*rumel-pikieteta* — gra w karty. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*burgund* — gatunek francuskiego wina. [przypis edytorski]

mina miała wybuchnąć i w powietrze gościa twego wysadzić. Dlaczego synowi twemu odkryłeś nieprzyjaciela? Nigdy on wpaść nawet nie powinien był na domysł, że ja wiem o jego miłości. Trzeba było romans z drugiej strony zręcznie podkopać i serca synowskiego nie tracić. Byłbyś tu mądrym generałem, który na czoło silnego nieprzyjaciela nie uderza, ale niszczy oddziały pojedyncze.

PREZYDENT  
Jakże było robić?

WURM  
W najprostszy sposób — i tej gry karty jeszcze niezupełnie rozdane. Zapomnij na czas jakiś, żeś jest ojcem, panie! Nie śmieć walczyć z namiętnością, którą przeszkody rozniecają tylko. Mnie pozwól — a ja z jej własnej piersi wykluję robaka, co ją roztoczy<sup>37</sup> zupełnie.

PREZYDENT  
Jestem ciekawy!

WURM  
Nie znałbym barometru duszy, gdybym nie był pewny, że pan major tyle jest straszny w zazdrości, ile w kochaniu. Wzbudź w nim podejrzenie — pozorne czy prawdziwe. Jeden gran<sup>38</sup> nieczystych drożdży w całej masie niszczący kwas zaszczepia.

PREZYDENT  
Gdzież ten gran znaleźć?

WURM  
Zaraz przyjdziemy. Przede wszystkim racz mnie, panie, oświecić, jak wiele ci szkodzić może dłuższy opór majora — jak dalece ważnym jest zerwanie miłości z mieszczchańską dziewczyną a ożenienie syna twego z Lady Milford?

PREZYDENT  
Możeszże, Wurmie, o to zapytywać? W niebezpieczeństwie stoi cały mój wpływ, jeśli małżeństwo z Lady spełnie na niczym — a moja głowa, jeżeli syna przymuszać zechcę.

WURM  
*wesoło*  
Racz mnie więc słuchać, łaskawy panie! Majora usiedlimy podstępem. Na dziewczynę użyjemy całej władzy twojej. Napisany jej ręką słodki bilecik do trzeciej osoby musi wpaść w ręce majora.

PREZYDENT  
Pomysł szalony! Jakby ją tak łatwo nakłonić można do podpisania własnego wyroku śmierci?

WURM  
Będzie zmuszona, jeżeli mi wolno działaś pozwolisz. Dobre jej serce znam ja aż do głębi. Dwie w nim są struny śmiertelne, po których do jej sumienia uderzać będziemy. Ojciec i major. Ostatniego gdy od gry wyłączymy — tym łatwiej z kapelmajstrem przyjdziemy do szturmu.

PREZYDENT  
Na przykład?

WURM  
Po tym, coś mi panie o twojej bytności w ich domu powiedział, nietrudno będzie ojcu kryminalnym pogrozić procesem. Osoba ulubienca i stróża pieczęci jest w niejaki sposób cieniem książęcego majestatu. Jej więc obraza jest obrazą tronu. — Przynajmniej tą zręcznie uplecioną androną<sup>39</sup>, biednego pacholka przez igłę ucho przewłokę.

<sup>37</sup>*roztoczyć* — rozgryźć, zniszczyć. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*gran* — niewielka jednostka wagi, por. ang. *grain*, tj, ziarno. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*androna* (daw.) — bzdura, kłamstwo. [przypis edytorski]

PREZYDENT

Na prawdę jednak nie trzeba posuwać.

WURM

O nie, zupełnie! — tylko o ile niezbędność wymaga całą rodzinę w kleszcze uławić. Kapelmajstra więc tajemnie zamykamy w więzieniu, niebezpieczeństwo żeby powiększyć, można mu matkę dać za towarzyszkę — mówimy potem o kryminalnym zaskarżeniu, o szubienicy albo wiecznych galerach — a za jedyny warunek wolności podamy córce list do napisania.

PREZYDENT

Dobrze! Dobrze! — rozumiem.

WURM

Dziewczyna kocha ojca namiętnie, można powiedzieć. Niebezpieczeństwo jego życia, jego wolności przynajmniej — wyrzuty sumienia, że z jej powodu nieszczęście wynikło — niepodobieństwo<sup>40</sup> posiadania majora, na koniec zagłuszenie jej zmysłów, które na siebie biorę. — wszystko to niewątpliwie musi ją w sidła nasze nagnać.

PREZYDENT

Ale mój syn? Czyż się natychmiast nie dowie? — czy nie wpadnie w gniew wściekły?

WURM

Zostaw to, panie, mojemu staraniu. Ojciec i matka nie pierwszej opuszczą więzienie, aż cała rodzina wykona przysięgę dzieło utrzymać w tajemnicy i oszukanie potwierdzić.

PREZYDENT

Przysięgę! Co ona znaczy, nierozsądny?

WURM

Nic u nas — ale wszystko w tej klasie ludzi. Patrz teraz, łaskawy panie, jak pięknie tym sposobem obadwaj do celu dojdziemy — dziewczyna utraci miłość majora i dobre imię swej cnoty; matka i ojciec na cieńszych strunach grać będą i powoli zmiękczeni przygodami, uznają za szczęście oddać mi rękę córki i przez to jej dobre imię powrócić.

PREZYDENT

*śmiejąc się*

Tak! tak — widzę, żeś mnie zwyciężył, niecnoto! — plan szatańsko ułożony — uczeń przeszedł mistrza. Zachodzi tylko pytanie, do kogo musi być list posłany, z kim ją w podejście wprowadzić?

WURM

Z takim koniecznie, który by przez postanowienie twojego syna albo wszystko zyskać, albo wszystko mógł stracić.

PREZYDENT

Takim jest tylko marszałek Kalb.

WURM

*ruszając ramionami*

Ten by nie był w moim guście, gdybym był Ludwiką Miller.

PREZYDENT

Czemu nie? Dziwnie! Śklniace<sup>41</sup> się ubranie. W koło niego atmosfera piżma i perfum, za każdym słowem garść pełna dukatów — i to by nie miało zwyciężyć skrupułów miejskiej dziewczyny? Mój przyjacielu! Zazdrość nie przebiera. Posyłam do marszałka.

WURM

Ja idę wiadomy list mu ułożyć — a wy, panie, rozkażcie uwięzić kapelmajstra.

<sup>40</sup>niepodobieństwo (daw.) — niemożliwość. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>sklniaczy — błyszczący. [przypis edytorski]

PREZYDENT

*idąc do SEKRETARZA*

List mi przyniesiesz do odczytania, skoro będzie skończony. WURM *odchodzi*, PREZYDENT *po napisaniu oddaje papier* LOKAJOWI. Ten rozkaz uwięzienia zanieść do sądu bez zwłoki — listem tym proszę marszałka do siebie.

LOKAJ

Pan marszałek właśnie tu zajechał.

PREZYDENT

Tem lepiej. Uwięzienie powinno się odbyć z całą przezornością, żeby żadnego ruchu nie sprowadzić.

LOKAJ

Dobrze, jaśnie oświecony panie!

PREZYDENT

Rozumiesz? W cichości największej.

LOKAJ

Bardzo dobrze, jaśnie oświecony panie!

## SCENA II

PREZYDENT i KALB.

KALB

*spiesząc się*

*En passant*<sup>42</sup> tylko przychodzę, mój drogi! Jak się masz, co porabiasz? Dziś w wieczór grają operę *Dido*. Pyszny fajerwerk — całe miasto ma się palić. Przyjdiesz oglądać? — co?

PREZYDENT

Dosyć ja mam fajerwerków w własnym moim domu, tak że całe państwo może w górę wylecieć. Przychodzisz w porę kochany marszałku, poradzić mi, pomóc w jednej rzeczy, która nas obu albo podniesie, albo zgubi zupełnie. Siadaj.

KALB

Nie nabawiaj mnie strachu, mój najdroższy!

PREZYDENT

Jakem powiedział: podniesie albo zgubi zupełnie. Wiesz o moim zamiarze z majorem i Łady. Pojmujesz, jak nieodbitym było ustalenie szczęścia naszego. Kalbie! wszystko stracone; Ferdynand nie chce.

KALB

Nie chce, nie chce — ja po całym mieście rozniosłem. Małżeństwo na ustach każdego.

PREZYDENT

Za plotkę cię w całym mieście wezmą; Ferdynand kocha inną.

KALB

Żartujesz. Jestże to przeszkoda?

PREZYDENT

Przy tej upornej głowie nieprzewyciężona.

KALB

Jak to? — syn twój śmiałyby być do tyła<sup>43</sup> szalonym i *sa fortune*<sup>44</sup> odpychać? Co?

PREZYDENT

Pytaj go i posłuchaj, co ci odpowie.

<sup>42</sup>*en passant* (fr.) — w przelocie. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*do tyła* (daw.) — do tego stopnia. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*sa fortune* (fr.) — swój los, swoje szczęście. [przypis edytorski]

KALB

Ale *mon Dieu*<sup>45</sup>! Cóż on odpowiedzieć może?

PREZYDENT

Że całej stolicy odkryje zbrodnię która nas wzniosła; że nas o listy i kwity fałszywe oskarży; że nas obu na ścieżce wyda — to ci może odpowie.

KALB

Czyś zmysły utracił?

PREZYDENT

To już odpowiedział — to już chciał wykonać i zaledwie go najnędniejszym poniżeniem moim od tego odwiódłem. Co mówisz?

KALB

Mój rozum nic nie mówi.

PREZYDENT

To by jeszcze uszło — ale donoszą mi szpiegi, że wielki podczaszy Bok w myśli jest starania się o rękę Lady.

KALB

W szaleństwo mnie wprawiasz. Kto — powiadasz? Bok, mówisz? Wieszcze, to mój główny nieprzyjaciel? — Wieszcze dlaczego?

PREZYDENT

Pierwszy raz słyszę.

KALB

Mój drogi! Posłyszysz i ze skóry wyskoczysz. Pamiętasz o tym wielkim balu na dworze — dziś temu lat dwadzieścia jeden — pamiętasz: Wtenczas, gdy pierwszego Angleza tańczono i hrabiemu Merszaum gorąca kropla wosku z kandelabry na domino upadła? Boże mój! Przecież musisz o tym pamiętać?

PREZYDENT

Kto by mógł o takiej rzeczy zapomnieć?

KALB

Otóż uważaj: na tym balu księżniczka Amelia w zapale tańca podwiązkę zgubiła. Rzecz do pojęcia, że wszystko biegło w poruszeniu. Bok i ja (jeszcze wówczas byliśmy kamerjunkturami<sup>46</sup>) — czołgamy się po całej reductowej sali, szukając podwiązki; na koniec ja postrzegam — i Bok zauważył — ja biegnę — Bok wpada i z rąk mi wydziera — tylko proszę cię: wydziera, księżniczce zanoszą i kradnie szczęśliwie podziękowanie dla mnie przeznaczone. Co myślisz?

PREZYDENT

Bezczelny!

KALB

Kradnie podziękowanie dla mnie przeznaczone. Myślałem upaść w niemocy — takiej *malice*<sup>47</sup> nikt jeszcze nie dożył. — Przychodzę jednak do siebie, zbliżam się do księżniczki i mówię: łaskawa pani! Bok był szczęśliwym podwiązkę w jej wspaniałe ręce oddać — ale ten, kto podwiązkę pierwszy wynalazł, nagrodzony jest w cichości i milczy.

PREZYDENT

Brawo, marszałku! brawissimo!

KALB

I milczy — ale ja Bokowi do dnia sądnego pamiętać będę — nikczemny, czołgający się pochlebnik! To jeszcze nie dosyć. Gdyśmy obadwa za podwiązką na ziemię upadli, Bok mi z prawej fryzury wszystkie pudry strząsnął — a ja na bal cały zrujnowany byłem.

<sup>45</sup>*mon Dieu* (fr.) — mój Boże. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*kamerjunkier* — młodszy szambelan. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*malice* (fr.) — złośliwość. [przypis edytorski]

PREZYDENT

Otóż jest człowiek, który Lady Milford za żonę weźmie, i pierwszą rolę zajmie na dworze.

KALB

Nóż w serce moje zagłębiasz. Zajmie? Ale gdzież konieczność?

PREZYDENT

Bo mój Ferdynand nie chce — a nikt się inny nie zjawia.

KALB

Nie znaszże jakiego sposobu, żeby majora nakłonić? Choćby był najdziwniejszy, najwięcej rozpaczający. Cóż na świecie może być przeciwnego, co nieupragnionego, byle przekłętą Boka wyparować<sup>48</sup>?

PREZYDENT

Jeden znam sposób i ten od ciebie zależy.

KALB

Ode mnie zależy? — a jaki?

PREZYDENT

Majora poróżnić z jego kochanką.

KALB

Poróżnić? — Jak to rozumiesz i jak ja to zrobię?

PREZYDENT

Wygramy, skoro się uda pannę podać w podejrzenie.

KALB

Że kradnie, na przykład.

PREZYDENT

Ale nie! Gdzieżby temu mógł major uwierzyć? Że się w innym kocha.

KALB

W kim innym?

PREZYDENT

Niby w tobie, baronie.

KALB

Co? — we mnie? — a czy z krwi szlacheckiej?

PREZYDENT

Do czego? — co za napad? — córka muzykanta.

KALB

Więc mieszcza? — to nie ujdzie. Co?

PREZYDENT

Czemu nie ujdzie? Dzieciństwo. Kto pod słońcem twarzą okragłej o dyplom się pyta?

KALB

Ale rozważ — człek honoru — dobre imię na dworze.

PREZYDENT

To co innego — wybaczej — nie wiedziałem, że więcej cenisz człowieka nienagannych obyczajów, jak człowieka wpływ mającego. Skończmy więc.

KALB

Bądźże wyrozumiały, baronie — ja nie to chciałem powiedzieć.

---

<sup>48</sup>wyparować — wypruć z zaprzęgu. [przypis edytorski]

PREZYDENT

*zimno*

Nie — nie! Masz słuszność — ja także znudzony, wolę rzucić wszystko. Bokowi życzę szczęścia na krześle pierwszego ministra. Świat nie tylko w tym kraju. Natychmiast proszę księcia o uwolnienie od służby.

KALB

A jaż? — dobrze ci mówić — ty — ty człowiek uczonej. Ale ja, *mon Dieu*, w co się obrócę, gdy mnie księżę oddali?

PREZYDENT

W *bon mot*<sup>49</sup> wczorajsze, w modę przeszłoroczną.

KALB

Zaklinam cię, mój drogi, mój złoty baronku. Zapomnij tej myśli — ja już wszystko zrobię.

PREZYDENT

Pozwolisz użyć imienia twego do *rendez-vous*<sup>50</sup>, które ci panna Miller prześle na piśmie?

KALB

W imię Boże! — pozwolę.

PREZYDENT

I list upuścisz w takim miejscu, gdzie by go major obaczył.

KALB

Upuszczę go na paradzie, niby razem z chustką.

PREZYDENT

I rolę kochanka przed majorem utrzymasz?

KALB

*Mort de ma vie*<sup>51</sup>! Już ja mu pokażę. Gustować w moim wyborze na zawsze oduczę.

PREZYDENT

Wszystko więc idzie dobrze. List dziś jeszcze musi być napisany. Przyjdiesz po niego wieczorem i ułożysz się ze mną, jak grać trzeba rolę.

KALB

Przyjdę tu, skoro oddam szesnaście wizyt największej wagi. Daruj więc, że cię natychmiast pożegniam.

*wychodzi*

PREZYDENT

*dzwoniąc*

Liczę na twoją przebiegłość.

KALB

*za drzwiami*

Ach! *Mon Dieu!* Wszak mnie znasz, prezydencie.

### SCENA III

PREZYDENT i WURM.

WURM

Kapelmajster i jego żona już są szczęśliwie i bez hałasu do więzienia zawiedzeni. Czy chcesz odczytać list, jasnie oświecony panie?

<sup>49</sup>*bon mot* (fr.) — dowcipne powiedzonko. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*rendez-vous* (fr.) — spotkanie. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*Mort de ma vie!* (fr.) — śmierć mojego życia. [przypis edytorski]



PREZYDENT

*przeczytawszy*

Wybornie! Wybornie, sekretarzu! — i marszałek dał się schwycić na wędkę. Trucizna taka samo zdrowie w trąd zaraźliwy przemienić by mogła. Tylko natychmiast bież z warunkami do ojca i do córki.

*Odchodzą w róine strony.*

## SCENA IV

*Pokój w domu MILLERA.*

LUDWIKA i FERDYNAND.

LUDWIKA

Proszę cię, przestań! Ja w dni szczęśliwe nie wierzę — moje nadzieje wszystkie upadły.

FERDYNAND

Ale moje się wzniosły. Ojciec mój rozgniewany, wszystkie działa swoje przeciwko nas obróci. Zmusi mnie nieludzkim pokazać się synem. Nie zaręczam za obowiązki moje dziecięce. Wściekłość i rozpacz wycisną ze mnie tajemnicę krwawego zabójstwa i syn ojca w ręce sprawiedliwości wyda. Najwyższe niebezpieczeństwo grozi, skoro się miłość moja na krok olbrzymi odważy. Słuchaj, Ludwiko! Myśl wielka i zuchwała jak moja namiętność do duszy się ciśnie. Ty Ludwiko i ja i miłość nasza! Czyż w tej trójcy całe niebo nie spoczywa? — Czy potrzebujesz jeszcze czwartej rzeczy?

LUDWIKA

Przestań, nic więcej; blednieję na samo wspomnienie tego, co chesz mówić.

FERDYNAND

Do świata nie mamy żadnego żądania — po cóż się woli jego zapytywać? Po co ważyć, gdzie nic zyskać, a wszystko utracić można? Twoje oko jednak upajać mnie będzie, czy się ono w Renie, czy w Elbie, czy w Bałtyckim morzu odbije. Moja ojczyzna tam, gdzie mnie Ludwika kocha. Droższe dla mnie będą ślady stóp twoich na pustyniach piasku, niżeli wspaniała katedra miasta rodzinnego. Czy nam wystawy<sup>52</sup> zabraknie? — Gdziekolwiek pójdziemy, Ludwiko, wschód i zachód słońca przedstawiać się nam będzie — a przed tym widokiem natury blednieję najcudowniejsze sztuki arcydzieła. Jeżeli Boga nie uczymy pod sklepieniami kościołów, to w nocy, w środku jej cieniów duchami się snujących, błdy księżyc do pokuty napomni — a rozsiane gwiazdy na błękitie modlić się z nami będą. Rozmowy miłości naszej nigdy się nie wyczerpią — uśmiech na ustach mojej Ludwiki całego wieku jest treścią — a sen życia przeminie, za nim się w jej łzie rozpatrzę.

LUDWIKA

Czy oprócz miłości nie masz innych obowiązków?

Ojciec, Obowiązek

FERDYNAND

Twoja spokojność jest mi najświętszym.

LUDWIKA

Milcz więc i opuść mnie — bo ja mam ojca ubogiego — który tę jedną tyłką ma córkę — jutro 60 lat skończy i zemsty prezydenta stanie się ofiarą.

FERDYNAND

*prędko*

Ojciec twój z nami pojedzie — żadnej więc wymówki, droga moja! Idę moje brylanty na złoto zamienić, podniosę sumy na imię ojca mego. Wolno jest złodzieja okradać — a jego skarby czyż nie są krwawym groszem ojczyzny? O pierwszej po północy pojazd tu zajedzie — wsiądziesz do niego i wraz uciekamy.

LUDWIKA

A za nami ojca twego przekleństwo! — Nierozsądny! Przekleństwo, którego zbójca nawet nie wymawia, które zemsta nieba na kole wplecionemu złoczyńcy dotrzymuje, które

Przekleństwo

<sup>52</sup>wystawa — wystawne wyposażenie. [przypis edytorski]

jak upiór krwawy nas zbiegów gnać będzie od morza do morza. Nie, mój kochanku! Jeżeli tylko występki dać mi ciebie może, to dosyć czuję mocy stracić cię na wieki.

FERDYNAND  
*z spojrzeniem posępnym*  
Istotnie?

LUDWIKA  
Stracić! — O! Bez granic straszna ta myśl moja! — zdolna przesyć żelazem ducha nieśmiertelnego, żarzące się lica radości bielmem śmierci powlec. Ferdynandzie! Ciebie stracić! — Ale ach! Utracić może ten, co posiadał. Serce twoje twojemu należy stanowi. Moje prawo jest świętokradztwem i z drżeniem śmiertelnym wyrzekam się jego.

FERDYNAND  
*mieniąc twarz i gryząc wargi*  
Wyrzekasz się jego?

LUDWIKA  
Nie, kochany Walterze! nie patrz na mnie, nie zgrzytaj tak gorzko zębami. Chodź — niech moim przykładem umierającą odwagę w duszy twojej ożywię. Pozwól mi tej chwili być bohaterką, uciekającego syna ojcu powrócić — wyrzec się związku, który podstawy obywatelskiego podkopuje świata i wali wiekuisty porządek do szczytu. Jestem występna, bo zuchwałe, szalone chęci w piersi mej nosiłam — moje nieszczęście będzie mi karą — pozwól mi więc tym słodkim, pochlebnym cieszyć się złudzeniem, żem dobrowolną ofiarę poniosła. Czy mi tej wielkiej rozkoszy odmówisz?

FERDYNAND  
*w uciekłości i roztargnieniu porwał wiolonczelę — próbował kilka tonów wydać — w tej chwili zrywa struny, gruchocze instrument i w głośny śmiech wpada.*

LUDWIKA  
Walterze! Boże na niebie! — Co to znaczy. Upamiętaj się. Stałości wymaga ta godzina — godzina rozstania. Ty masz odwagę, Walterze kochany! Ja znam cię. Wrząca jak życie jest twoja miłość i bez granic jak nieskończoność. Daj ją szlachetniejszej, godniejszej kobiecie, a ona najszcześniejszym płci swojej zazdrościć nie będzie. *Thumiąc łzy.* Mnie już nie obaczysz. Próżna, oszukana dziewczyna przepłaczę żalność swoją w samotnych murach. Nikt o jej łzy troszczyć się nie będzie — pustą i umarłą jest moja przyszłość — ale w wspomnieniach wonieć mi będą zwiędłe kwiaty przeszłości. *z odwróconą twarzą drżącą dłoń mu podając* Bądź zdrow — panie Walterze!

FERDYNAND  
*ocucając się z zamyślenia*  
Ja uciekam, Ludwiko! Czy istotnie nie chcesz iść za mną?

LUDWIKA  
*oddalona w głębi pokoju twarz obiema rękami zasłaniając*  
Moja powinność każe mi zostać i cierpieć.

FERDYNAND  
Wężu! Ty kłamiesz. — Ciebie coś innego zatrzymuje.

LUDWIKA  
Zostań przy tym mniemaniu — może ci żalu oszczędzi.

FERDYNAND  
Stawiać zimną powinność naprzeciw ognistej miłości! — i mniej ta bajka uwiedzie? Kochanek cię wstrzymuje — ale biada jemu i tobie, jeśli mój domysł się sprawdzi.  
*Odchodzi szybko.*

## SCENA V

LUDWIKA

*sama*

*Czas niejaki bez ruchu i niema — po chwili ustaje z krzesła i ze strachem ogląda się w kolo.*

Gdzie moi rodzice? Ojciec obiecał za kilka minut powrócić — a już pięć godzin strasznych minęło. Jeżeli jaki wypadek — jakże mi ciężko oddychać.

*WURM wchodzi i niepostrzeżony staje w głębi pokoju.*

O! To nic prawdziwego — to tylko straszna mara krwi rozognionej. Skoro raz dusza okropnością się napoiła, to oko w każdym kącie widmo postrzeże.

## SCENA VI

LUDWIKA i WURM.

WURM

*zbliżając się*

Dobry wieczór, panno Ludwiko!

LUDWIK

Boże! kto tu przemówił? *Obraca się, widzi WURMA i przestraszona cofa się.* Okropnie, okropnie! Bolesnemu przeczuciu już nienajszczęśliwsze wypełnienie zachodzi. *Do sekretarza z pogardą* Czy tu pan szukasz prezydenta — już odszedł.

WURM

Szukam pannę Ludwikę.

LUDWIK

Dziwi mnie, w takim razie, że się na rynek nie udasz?

WURM

Dlaczego tam?

LUDWIKA

Narzeczoną twoją z rusztowania sprowadzić.

WURM

Panno Miller! — niesłuszne masz podejrzenie.

LUDWIKA

Czem mogę służyć panu?

WURM

Przychodzę w poselstwie od twojego ojca.

LUDWIKA

Od mojego ojca? Gdzież jest mój ojciec?

WURM

Gdzie by chętnie być nie chciał.

LUDWIKA

Na imię Boga! spiesz się — mnie okropne ciśnie przeczucie. Gdzie jest mój ojciec?

WURM

W więzieniu — kiedy już powiedzieć muszę.

LUDWIKA

*z oczami w niebo*

To jeszcze! — i to jeszcze! W więzieniu? Za co?

WURM

Na rozkaz ksiączęcia.

LUDWIKA

Książęcia?

WURM

Który obrazę majestatu w osobie swojego ministra...

LUDWIKA

Co? co? — o wieczna wszechmocności!

WURM

...Przykładnie ukarać postanowił.

LUDWIKA

Tego tylko nie stawało! tego! — Zapewne, zapewne, serce moje prócz majora miało jeszcze 'coś' drogiego — nie można było pominąć. Obraza majestatu — Opatrzności Boska, dźwignij, o dźwignij upadającą wiarę moją! — a Ferdynand?

WURM

Musi wybierać między Lady albo przekleństwem i wydziedziczeniem.

LUDWIKA

Straszny wybór! — a jednakże on jest szczęśliwym — nie ma ojca do stracenia, choć nie mieć żadnego jest już potępieniem. Mój ojciec za obrazę majestatu, mój kochanek Lady Milford albo przekleństwo i wydziedziczenie. Wybornie! Doskonale! Doskonale łotrostwo jest także doskonałością. Doskonałością? Nie — do tego coś brakuje — gdzie jest matka moja?

WURM

W domu roboczym.

LUDWIKA

*z bolesnym śmiechem*

Teraz kielich jest pełny! — pełny i jaż sama jestem wolną? — odarta ze wszystkich świętych obowiązków — z łez — z uciech — sierota opatrzności! — Opatrzności już mi nie potrzeba — *milczenie*. Może jeszcze masz jaką wiadomość? Mów — wszystkiego słuchać mogę.

WURM

Wiesz, co się teraz stało.

LUDWIKA

Ale nie wiem, co się stać może. *Milczenie, w którym spoziera na SEKRETARZA od stóp do głowy*. Biedny człowieku! Smutne twoje rzemiosło niepodobna, żeby zadowolniać miało. Okropnie to być sprawcą nieszczęścia, ale stokroć straszniej oznajmiać je, rozpowiadać puszczyka głosem; być świadkiem, patrzeć jak na żelaznej łodydze konieczności drga serce zakrwawione, słyszeć jak chrześcijanin o Bogu zwątpiewa! Niechaj mnie niebo zachowa! Choćby ci każda kropla krwi spadającej przed twymi oczyma miała być beczką złota wazona — ja bym nie chciała być tobą. Mów: cóż się stać może?

WURM

Nie wiem.

LUDWIKA

Nie chcesz raczej wiedzieć. Twoje światła lękające się poselstwo szmeru słów się boi — ale w grobowej ciszy twojego lica widzę już upiora. Co może nastąpić? Mówiłeś mi, że książę chce przykładnie ukarać. Co nazywasz *przykładnie*?

WURM

Nic więcej nie pytaj.

LUDWIKA

Słuchaj człowieku! Do katowskiej szkoły chodziłeś na nauki — bo inaczej jakżebyś umiał żelazo pierwej powoli, rozważnie, po chrapiących stawach prowadzić do góry, a potem serce drgające szarpać słowami litości? Mów co czeka ojca mego? Śmierć jest

w tym co głośisz śmiejącą się mową; jakże musi wyglądać to co wewnątrz. Wypowiedz!  
Zwał naraz cały ciężar druzgotający. Co czeka ojca mego?

WURM  
Proces kryminalny.

LUDWIKA  
Cóż to znaczy? Ja nieumiejętna, ja prosta dziewczyna i nie pojmuję strasznych łacińskich słów waszych. Co znaczy proces kryminalny?

WURM  
Sąd na śmierć i życie.

LUDWIKA  
Dziękuję bardzo!  
*Spiesznie wychodzi do alkierza*<sup>53</sup>.

WURM  
*przerażony*  
Gdzie ona poszła? Szalona, czy by chciała?... Piekło! przecież nie — pójde za nią — za jej życie muszę odpowiadać.  
*chce iść*

LUDWIKA  
*wraca w salopie*<sup>54</sup>  
Daruj panie sekretarzu! — ja pokój zamykam.

WURM  
Gdzież tak spiesznie?

LUDWIKA  
*chcąc wychodzić*  
Do księcia.

WURM  
Co? Dokąd?  
*zatrzymując ją*

LUDWIKA  
Do księcia — czy nie słyszysz? Do tego samego księcia, który ojca na śmierć i życie chce sądzić. Nie! — nie chce, ale sądzić musi — bo kilku chce niegodziwców. On do całego procesu obrażonego majestatu nic nie daje, tylko swój majestat i podpis książęcy.

WURM  
*z głośnym śmiechem*  
Do księcia!

LUDWIKA  
Wiem, dlaczego się śmiesz — ale ja nie litości idę tam szukać. Boże mnie uchowaj! — wstręt tylko chce sprawić krzykiem mojej mowy. Mówili mi, że możni tego świata nie znają i znać nie chcą, co to nędza znaczy — ja im opowiem — wszystkimi farbami pochłaniającej śmierci malować będę — co nędza znaczy — rozdzierającymi tonami zajęczę im aż do kości i szpiku, co nędza znaczy — a gdy na mój opis włosy do góry staną, zakrzyczę do ich ucha: że w godzinie śmiertelnej płuca nawet ziemskich bożków chrapią straszliwie, i że na sądzie ostatecznym Bóg żebraków i królów przez jedno sito przesieje.

WURM  
Idź — w istocie idź do księcia — nic rozsądniejszego nie możesz uczynić. Ja ci radzę — spiesz się — a wierz słowu, że książę wysłucha.

<sup>53</sup>alkierz (daw.) — sypialnia. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>salopa — wierzchnie okrycie kobiece z pelerynką, podbite futrem. [przypis edytorski]

LUDWIKA

Jak mówisz? — sam mi radzisz? *wraca* Co tu począć? — coś okropnego musi być w moim zamiarze, kiedy ten człowiek doradza. Skąd wiesz, że księżę wysłucha?

WURM

Bo bezpłatnie tego nie uczyni.

LUDWIKA

Bezpłatnie? — Jakąż za czyn ludzkości<sup>55</sup> można cenę nałożyć?

WURM

Piękna suplikantka<sup>56</sup> będzie mu dostateczną zapłatą.

LUDWIKA

*jakiś czas w osłupieniu, potem głosem bolesnym*  
Boże sprawiedliwy!

WURM

Spodziewam się, że tę cenę za wykup ojca zbytęzną nie znajdziesz?

LUDWIKA

Tak! O tak! Wasi możni przed prawdą opasani są własnymi zbrodniami, jakby mieczem cherubinów. Niechaj ci Bóg potężny dopomoże. Ojciec! Córka twoja chce umrzeć za ciebie, ale grzechu nie popełni.

WURM

Przykro będzie biednemu, opuszczonemu człowiekowi. „Moja Ludwika, rzekł do mnie ciężko mnie dotknęła; ale moja Ludwika mnie dźwignie”. Idę odpowiedź mu zanieść.

*Udaje, że ma wychodzić.*

LUDWIKA

*zatrzymując go*

Zostań, zaczekaj! — cierpliwości! O, jak przebiegle umie ten szatan w szaleństwo wprowadzać. *Ja go dotknęłam i ja go podźwignę*. Mów — radź! Co ja mam zrobić, co ja zrobić mogę?

WURM

Jeden tylko sposób.

LUDWIKA

Jaki?

WURM

Ojciec nawet życzy.

LUDWIKA

I mój ojciec? Mów więc, jaki sposób?

WURM

Nietrudny dla ciebie.

LUDWIKA

Nie ma dla mnie trudnego, chyba hańba tylko.

WURM

Gdybyś chciała majora uwolnić.

LUDWIKA

Od miłości dla mnie? — Żartujesz? Zostawiać mojej woli, do czego mnie zmusili.

WURM

Ja to inaczej rozumiem, kochana pani! Major powinien pierwszy i dobrowolnie ustąpić.

<sup>55</sup>*ludzkość* (daw.) — miłosierdzie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*suplikantka* — osoba wnosząca prośbę. [przypis edytorski]

LUDWIKA  
Nie zechce.

WURM  
Tak się zdaje. Nikt by do ciebie darmo nie przychodził, gdybyś nie ty jedna poradzić nam mogła.

LUDWIKA  
Mogę go zmusić, żeby mnie nienawidził?

WURM  
Spróbujemy! Racz tylko usiąść.

LUDWIKA  
*przerażona*  
Człowieku! Jaki twój zamiar?

WURM  
Racz usiąść — i pisać. Tu jest pióro, papier i atrament.

LUDWIKA  
*siada w największej niespokojności*  
Co ja mam pisać? Do kogo mam pisać?

WURM  
Do kata ojca twojego.

LUDWIKA  
Och! Ty znasz dobrze, jak dusze ciągnąć na tortury.

WURM  
*dyktując*  
„Łaskawy panie!” — LUDWIKA *pisze drżącą ręką.* „Trzy już nieznośnych dni upłynęło — a my się nie widzieli!”

LUDWIKA  
*zdziwiona kładzie pióro*  
Do kogo list ten?

WURM  
Do kata ojca twojego.

LUDWIKA  
O mój Boże!

WURM  
„Wina w tym majora — majora — który mnie dzień cały jak Argus<sup>57</sup> pilnował.”

LUDWIKA  
Niegodziwość, o jakiej jeszcze nie słyszano. Do kogo jest list ten?

WURM  
Do kata ojca twojego.

LUDWIKA  
*wstaje i przechadza się, zalamując ręce*  
Nie! nie! To po tyrańsku. Karz Boże ludzi po ludzku, jeśli cię obrażają, ale dlaczego mnie cisnąć pomiędzy dwie ostateczności? Dlaczego kołysać między śmiercią i wstydem? Dlaczego na moją głowę zsyłać tego krew ssącego szatana? Rób, co zechcesz — tego nigdy nie napiszę.

WURM  
*porywając za kapelusz*  
Jak się pani podoba? — w jej woli stoi.

---

<sup>57</sup>Argus (mit. gr.) — stuoki, zawsze czuwający olbrzym. [przypis edytorski]

LUDWIKA

W mojej woli powiadasz? W mojej woli? — Idź, barbarzyńco! — Wieszaj nieszczęśliwego nad przepaścią piekła, prosz go o co i bluźnij Boga i pytaj, czy mu się podoba. O, ty wiesz, że nasze serca do związków natury łańcuchem przykute. Teraz mi wszystko jedno. Muszę się chytrności powodować<sup>58</sup> piekła.

*Siada znowu do pisania.*

WURM

*dyktuje*

„Dzień cały jak Argus<sup>59</sup> pilnował”. Masz to, pani?

LUDWIKA

Dalej, dalej!

WURM

„Mieliśmy wczoraj w domu prezydenta. Zabawnie było patrzeć, jak major o mój honor się spierał”.

LUDWIKA

O pięknie, pięknie! Doskonale! Idź dalej!

WURM

„Udałam omdlenie, żeby się głośno nie rozśmiać”.

LUDWIKA

O nieba!

WURM

„Ale ta rola wkrótce była mi nieznośną — nieznośną. — Gdybym go tylko prędzej pozbyć się mogła”.

LUDWIKA

*zatrzymuje się, powstaje, przechadza się ze zwieszoną głową, jakby czegoś na ziemi szukała — po chwili usiada znowu i pisze dalej*  
„Pozbyć się mogła”.

WURM

„Jutro major ma służbę. Pilnuj skoro wyjdzie i pospiesz na wiadome miejsce”. Masz pani „wiadome miejsce?”

LUDWIKA

Wszystko mam.

WURM

„Na wiadome miejsce do twojej tkliwej Ludwiki”.

LUDWIKA

Brakuje tylko adresu.

WURM

„Do marszałka dworu pana Kalb.”

LUDWIKA

Przezorności nieskończona! Imię tak obce uszom moim, jak sercu memu obce to okropne pismo. *Powstaje, patrzy długo i osłupiałym okiem na list napisany i oddaje go na koniec SEKRETARZOWI.* Weź go, pani! Moje dobre imię, Ferdynanda, całą rozkosz mojego życia, wszystko ci oddaję — jestem żebraczką.

WURM

O nie! Nie rozpaczaj, pani kochana! Mam litość dla ciebie. Może — kto wie? ja bym odrzucił niektóre okoliczności. Istotnie, na Boga, mam litość nad tobą.

<sup>58</sup>*powodować* (daw.) — dać się kierować. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*Argus* (mit. gr.) — stuoki, zawsze czuwający olbrzym. [przypis edytorski]



LUDWIKA

Nie kończ, panie sekretarzu! Jesteś na drodze jakiegoś okropnego dla siebie życzenia objawić.

WURM

*chcąc jej rękę całować*

A gdyby szło o tę piękną rączkę? Cóż na to kochana pani?

LUDWIKA

Żebyś cię pierwszej nocy ślubnej zamordowała i z rozkoszą potem szła na rusztowanie? *Chce odejść, ale wraca nazad*<sup>60</sup>. Czyśmy skończyli? Ptaszek czy może już odlecieć?

WURM

Jeszcze jedna drobnostka! Musisz przysiąc na Sakrament, że uznasz zawsze to pismo jako dobrowolne.

przysięga

LUDWIKA

Boże! Boże! Ty sam musisz dać rękojmię<sup>61</sup>, to piekła dzieło zachować.

WURM *wyciągając z pokoju.*

---

<sup>60</sup>*nazad* (daw.) — z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*rękojmia* (daw.) — gwarancja. [przypis edytorski]

# AKT IV

## SCENA I

Sala PREZYDENTA.

FERDYNAND z otwartym listem w ręku wpada gwałtownie do pokoju jednymi drzwiami — przez drugie wchodzi LOKAJ.

FERDYNAND  
Marszałka tu nie było?

LOKAJ  
Pan prezydent pyta się o pana majora.

FERDYNAND  
A ja, do piorunów, pytam się, czy tu marszałka nie było.

LOKAJ  
Pan łaskawy siedzi przy stoliku faraonowym<sup>62</sup>.

FERDYNAND  
Pan łaskawy w imieniu całego piekła niechaj tu się stawi.  
LOKAJ *odchodzi*

## SCENA II

FERDYNAND

*sam, przebiegając list*

To niepodobna<sup>63</sup>! To niepodobna! Ta boska powłoka tak piekielnego serca ukrywać nie mogła. A jednakże, gdyby wszyscy aniołowie na ziemię zstąpili, gdyby Stwórca i stworzenie naraz tu stanęli, za jej niewinność ręczyli — to jej ręka. Niesłychane, straszne oszukaństwo, takiego ludzkość jeszcze nie dożyła. Dlatego więc tak stale opierała się ucieczce? Dlatego? O Boże! Teraz się obudzam, teraz wszystko się odkrywa. Z takim bohaterским sercem zrzekła się mojej miłości! — uwiódłby mnie sam niewinny rumieniec na licu.

*Szybko przebiega pokój, potem znowu staje zadumany.*

Mnie tak znała do głębi duszy — każdemu śmiałemu czuciu, każdemu cichemu, bojaźliwemu drzeniu, każdej ognistej namiętności umiała odpowiedzieć — wiedziała, jak objąć duszę moją za najdelikatniejszą nieopisaność przelatującego głosu. W każdej łzie policzyła myśli moje — ze mną biegła na każdy stromy szczyt namiętności, spotkała przed zawrotną drogą przepaści. — I wszystko to przelotnym było tylko kaprysem? — Kaprysem? — O, jeżeli kłamstwo takie prawdziwe przybierać może kolory, jakim sposobem szatan jeszcze do nieba się nie wkłamał?

Z jakim złudzeniem pociągającym zbladła ta fałszywa, gdy jej niebezpieczeństwa naszej miłości odkrywał! Z jaką godnością zwyciężającą odparła szyderstwo ojca mojego — a w tej chwili jednakże już się czuła występna. — Co? Niewytrzymałaż ognistej nawet próby prawdy — gdy w niemoc upadła zwodzicielka. Jaką mową dasz się teraz usłyszeć, uczucie nieklamane, kiedy nierządnicę tak doskonale omdlewać umieją? Jakim sposobem usprawiedliwiać się będziesz, niewinności, kiedy rozpustna kobieta wpada w omdlenie?

Wie ona, co ze mnie zrobiła. — Och! Tak — przejrzała całą duszę moją. Moje serce w zarumienieniu się przy pierwszym pocałunku wystąpiło do oczu — a ona nic nie czuła? Była może dumna tryumfem sztuki swojej. Gdy mój szal szczęśliwy rozumiał całe niebo do jej duszy sprowadzać — gdy moje najdziksze namiętności zmiłkły — kiedy przed umysłem moim innej myśli nie było — tylko wieczność i dziewica! Wtenczas Boże! ona nic nie czuła? Nic nie czuła, tylko zamiar doprowadzony do skutku, tylko pochlebstwem zajęte wdzięki swoje? Zemsto śmiertelna — czuła tylko, że jestem oszukany?

<sup>62</sup>faraon — daw. gra w karty. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

### SCENA III

FERDYNAND *i* KALB.

KALB

Oświadczyłeś chęć twoją, mój drogi!

FERDYNAND

*na stronie*

Kark skręcić łotrowi, *głośno* Marszałku! Ten list na przeglądzie wojskowym wypadł ci z kieszeni — a ja z *bolesnym uśmiechem* miałem szczęście go znaleźć.

KALB

Ty, majorze?

FERDYNAND

Zabawnym przypadkiem — dziękuj opatrności.

KALB

Patrzaj baronie, jak jestem przerażony.

FERDYNAND

Czytaj go, czytaj *odchodząc od niego*. Jeśli się na kochanka przydać nie mogłem, może mi lepiej się uda być posłannikiem miłości.

*w chwili, gdy KALB zajęty jest odczytywaniem listu, FERDYNAND zdejmuje ze ściany dwa pistolety.*

KALB

*rzucając list na stół*

Przekłęta sprawa.

*chce odchodzić*

FERDYNAND

Cierpliwości, kochany marszałku! Nowiny zdają się bardzo przyjemne — dla znalazcy potrzeba nagrody.

*Pokazuje mu pistolety.*

KALB

*z przestrachem cofając się*

Bądźże wyrozumiałym, mój drogi!

FERDYNAND

Więcej, aniżeli potrzeba, aby takiego łotra na drugi świat wyprawić. *Wtyka mu w rękę pistolet i dobywa chustki.* Weźże! — trzymaj koniec tej chustki! Mam ją od kochanki.

KALB

Przez chustkę? — czy szalejesz? Co myślisz, baronie!

FERDYNAND

Bierz za koniec, powiadam, bo chybisz, piecuchu! — Ot! jak drży lękliwie! Powinieneś, piecuchu, Bogu podziękować, że w twojej czasce coś się dziś obraca. MARSZAŁEK *chce uciekać*. Powoli — o tym pomyślano.

*Przyprowadza go i drzwi na rygiel zamyka.*

KALB

W pokoju, baronie?

FERDYNAND

Jakby warto z tobą na wały wychodzić? Mój drogi! Głośniejszy strzał będzie — a tak pierwszego hałasu w świecie narobisz. Strzelaj!

KALB

*ocierając czoło z potu*

I tak chcesz twoje kosztowne życie wystawiać, młody, pełen nadziei człowieku?

FERDYNAND

Strzelaj, powiadam — nic na tym świecie nie mam do czynienia.

KALB

Mój najdroższy! Ale ja mam wiele.

FERDYNAND

Ty biedaku? — Co, ty? Żeby używanym być z potrzeby tam, gdzie ludzi nie staje. — W jednej minucie siedm razy się skurczyć, siedm wyciągnąć jak motyl na szpilce? Służyć za oślą skórę dowcipu twojego pana i pilnować strawności jego żołądka? — Lepiej, że cię jak niedźwiedzia powiodę za sobą. — Małpa przyswojona, będziesz tańcować po wyciu potępionych, służyć i podawać i dworskimi sztuczkami rozweselać rozpacz wiekuistą.

KALB

Wszystko, co każesz, baronie! Wszystko, co ci się podoba — tylko połóż pistolety.

FERDYNAND

Syn boleści! — na hańbę szóstemu dniu stworzenia stoi tu wyciągnięty, jakby go przedwiecznemu autorowi przedrukował księgarz w fałszywym wydaniu. Szkoda tylko — szkoda uncji mózgu, która w tej czaszce tak się lichy objawia. Ta jedna uncja pawiana mogłaby w człowieka zamienić — a tobie na trochę rozumu nie starczy. I z nim podzielać serce swoje? Okropnie! Niewypowiedzianie!

KALB

Dzięki ci Boże! Na dowcip się zwrócił!

FERDYNAND

Ja z niego zrobię jakiś użytek. Łagodność obyczajów, która gąsienicę oszczędza, i jemu wyjdzie na dobre. Kto go spotka, wzruszy ramionami — podziwiać będzie mądrą opatrność nieba, która nawet mętem i fusami wykarmia stworzenia — krukowi na szubienicy, a dworakowi w błocie majestatu do jadła nakrywa. Ale po moich kwiatach owad ten pełzać nie będzie: *porywując go za barki obraca nim na wszystkie strony* albo go tak — i tak i w miazgi rozduśzę.

KALB

*do siebie wzdychając*

O Boże mój — gdyby stąd się wymknąć — na sto mil się wymknąć — do *Bicêtre* w Paryżu, byle nie tu przy nim!

FERDYNAND

Niecnoto! — jeżeli ona czystość swoją straciła — jeśliś ty używał, gdzieś ja ubóstwiał — rozkoszował, gdzieś czuł Boga. — *Po chwili* Lepiej by ci było iść do piekła niżeli w niebie ze mną się obaczyć. Jak daleko zaszedłeś z dziewczyną? — wyznaj.

KALB

Puszczaj mnie tylko — ja wszystko ci wydam.

FERDYNAND

O! do tej dziewczyny wzdychać tylko, jeszcze jest ponętniej jak z drugą rozpustne prowadzić życie. Gdyby ona zboczyła z drogi prawej chciała — w jej by mocy było niżyc wartość duszy — rozkoszując się cnotę sfalszować. *Przytykając pistolet do serca marszałka*. Jak z nią daleko zaszedłeś — wyznaj, albo strzelam.

KALB

Nic nie było — wszystko nic — miej tylko jedną minutę cierpliwości! Jesteś oszukany!

FERDYNAND

I to, złoczyńco, śmiesz mi przypominać? — Jak z nią daleko zaszedłeś? — wyznaj, albo cię trupem położę.

KALB

*Mon Dieu*<sup>64</sup>! Mój Boże — ja powiem, słuchaj tylko. — Jej ojciec — własny ojciec — jej ojciec rodzony.

FERDYNAND

Córkę swoją zaprzedał? Jakże daleko z nią byłeś — wyznaj, albo cię zabiję.

KALB

Szalejesz — nie chcesz słuchać. Ja jej nie widziałem — nie znam jej — nie wiem o niej.

FERDYNAND

*cofając się*

Nie widziałeś jej — nie znasz — nic nie wiesz o niej? Przez ciebie Ludwika przepadła — a ty za jednym oddechem trzy razy się jej zaparł. Precz, niegodziwcze. *Uderza go kolbą pistoletu i wypycha go za drzwi.* Proch nie dla ciebie wynaleziono.

## SCENA IV

FERDYNAND

*po długim milczeniu*

Zgubiony! — Tak, nieszczęśliwa! Zgubiony jestem i ty ze mną razem. Na Boga wielkiego! W mojej zgubie i twoja jest zguba. Sędzio świata! O nią nie będziesz mnie pytał — ona była moja. Świat ci cały za nią oddałem, rzekłem się całej wspaniałości twojego stworzenia. Zostaw mi tę dziewczynę. Sędzio świata! Miliony dusz płacz tam wznoszą do ciebie — do nich zwróć oko politowania — mnie dozwól działać samemu, sędzio wielki świata! *Ręce zatamując.* Miałżeby bogaty, wszechmogący stwórca skąpić jednej duszy, i to najgorszej z całego stworzenia? Dziewczyna jest moja. Ja jej niegdyś Bogiem — dziś szatanem będę.

*Utkwiwszy oczy w kąt jeden.*

Przez wieczność z nią razem na jedno koło potępienia wpleciony — wzrok we wzrok wkorzeniony — włosy naprzeciw włosów dębem stojące i jęki puste, grobowe z dwóch piersi w jeden jęk złane — i tak powtarzać pieszczoty — i tak przysięgi jej przypominać — Boże, Boże! Straszny to ślub małżeński — ale wiekuisty.

*Chce odejść.*

Piekło

## SCENA V

FERDYNAND i PREZYDENT.

FERDYNAND

*cofając się*

O! Mój ojcie!

PREZYDENT

Dobrze, że się spotykamy, mój synu. Przychodzę ci przyjemną nowinę oznajmić — nowinę, kochany synu, która cię zadziwi. Usiądźmy.

FERDYNAND

Mój ojcie! *Z mocnym wzruszeniem zbliżając się ku niemu i całując jego ręce.* Mój ojcie! — O mój ojcie!

PREZYDENT

Co ci jest, synu! Powstań, ręka twoja w ogniu i drży cała.

FERDYNAND

Przebaczenia błagam za moją niewdzięczność, mój ojcie. Jestem odrodkiem. Twojej dobroci nie poznałem — tyś po ojcowsku ze mną postępował. Twoja dusza przeczuwała — teraz już za późno. Przebacz mi, przebacz! Daj twoje błogosławieństwo.

<sup>64</sup>*Mon Dieu* (fr.) — mój Boże. [przypis edytorski]

PREZYDENT

Powstań, powstań, mój synu! Jesteś mi zagadką.

FERDYNAND

Ta Miller, mój ojczu! Och! Ty znasz ludzi. Twój gniew był tak sprawiedliwy, tak szlachetny, tak szczerze ojcowski! Tylko gorliwość twoja chybiła drogi — ta Miller!

PREZYDENT

Nie dręcz mnie, synu! Przeklinam moją surowość — przychodzę cię przeproszać.

FERDYNAND

Mnie przeproszać? Przeklinaj mnie raczej. Twoja pomyłka była prawdą — twoja surowość boskim miłosierdziem. — Ta Miller, ojczu...

PREZYDENT

Jest szlachetną, kochaną dziewczicą. Odwołuję moje za prędkie podejrzenie — zasłużyła na mój szacunek.

FERDYNAND

*cofając się*

Co, i ty, ojczu? — i ty także? Nieprawdaż, dziewczyna sama niewinność? — i to tak ludzkim ją kochać?

PREZYDENT

Mów raczej, że zbrodnia ją nie kochać.

FERDYNAND

Niesłuchanie — okropnie! Ty, ojczu, co tak serca na wskroś przezierasz i oczami niewiści na nią poglądałeś. Oszustwo bezprzykładne! Ta Miller, ojczu!

PREZYDENT

Jest godną być moją córką. Jej cnotę uważam za przodków — jej piękność za majątek. Moje zasady ustępują twojej miłości. Niech będzie twoją.

FERDYNAND

*w obłąkaniu wybiega z pokoju*

Tego brakowało! — Bądź zdrów, mój ojczu!

PREZYDENT

*idąc za nim*

Zostań, zostań — gdzie bieżysz?

*Odchodzi za nim.*

## SCENA VI

*Pyszny salon w pałacu LADY.*

LADY i ZOFIA.

LADY

A więc ją widziałas? — czy przyjdzie?

ZOFIA

Natychmiast — była jeszcze w rannej sukni i naprędce chciała się ubrać.

LADY

Nic mi nie mów o niej — cicho! — ja drzę jak złoczyńca na myśl obaczenia tej szczęśliwej, co tak harmonijnie z moim sercem czuje! Jakże przyjęła moje zaproszenie?

ZOFIA

Zdała się przerażoną — zamyśliła się, po tym spojrzała na mnie wielkimi oczami i zamilkła. Już byłam gotowa zbijać jej wymówki, gdy naraz usłyszałem jej słowa: Twoja pani każe mi to, o com sama chciała prosić.

LADY

*niespokojnie*

Zostaw mnie, Zofio! Żałuj mnie — bo rumienić się muszę, jeżeli jest tylko zwyczajną kobietą — a rozpaczać, jeśli znajdę ją wyższą.

ZOFIA

Ale, Milady! To nie kaprys zapewne wiedzie cię do przyjmowania u siebie twojej rywalki — pamiętaj, kim jesteś! Przywołaj twoje urodzenie, twoją godność, twoją potęgę na pomoc. Dumniejszym sercem staraj się dumną wspaniałość lica twego podnieść.

LADY

*roztargniona*

Co plecie ta szalona?

ZOFIA

Może przypadkiem najkosztowniejsze dzisiaj wybrałaś brylanty, najbogatszą odziałaś się suknią — twoje przedpokoje liberłą i paziami napełnione, i miejska dziewczyna w książęcym salonie twojego pałacu ma być przyjmowaną.

LADY

*przechadzając się nieukontentowana*

Nieźnośnie! że wszystkie kobiety mają ostrowidza<sup>65</sup> oczy na kobiece słabości — ale jak głęboko — jak głęboko musiałam ja upaść, że takie stworzenie odgadło myśl moją.

LOKAJ

*wchodząc*

Panna Miller!

LADY

*do ZOFII*

Idź sobie — oddal się. *Groźąc, gdy ta się ociąga* Precz — ja każę. ZOFIA *odchodzi*, LADY *przechadza się po salonie*. Dobrze, że rozdrażniona. Jestem, jaką być chciałam. *do LOKAJA* Panna Miller wejść może.

LOKAJ *odchodzi* — LADY *siada na sojcie opiera jąca się wygodnie o poręcz*.

## SCENA VII

LUDWIKA *wchodzi nieśmiało i staje w niejakim oddaleniu od LADY. LADY obrócona do niej plecami ogląda ją w naprzeciw stojącym zwierciadle.*

*Po chwili.*

LUDWIKA

Łaskawa pani! Czekam na jej rozkazy.

LADY

*obraca się i obojętnie kiwa głową*

A ha! Czy jest tu? — Bez wątplenia panna... niejaka... jakże ją nazywają?

LUDWIKA

*niewyraźniająco*

Miller nazywa się mój ojciec — a jaśnie oświecona pani posyłałaś po jego córkę.

LADY

Prawda, prawda! Przypominam sobie. — Biedna córka muzykanta, o której niedawno mowa była. *Do siebie*. Twarz zajmująca, ale wcale nie piękna. *Głośno do LUDWIKI*. Przybliź się, moje dziecko. *Do siebie*. Oczy płaczu zaznały — jak ja lubię te oczy. *Głośno*. Bliżej tylko — tu do mnie. Zdaje się, dobre dziecko, że się mnie lęka.

LUDWIKA

Nie, Milady! Ja pogardzam zdaniem świata.

LADY

*do siebie*

---

<sup>65</sup>ostrowidz — rys. [przypis edytorski]

Patrzajże! Tę uporną głowę ma także od niego. *Głośno*. Polecono mi asannę. Chcesz się uczyć i umieć na życie zarabiać. Wierzę i za świat cały, nie chciałabym zadawać kłamstwa gorliwemu protektorowi.

LUDWIKA

Nie znam nikogo, Milady, który by trudu sobie zadawał wyszukiwania mi protektorki.

LADY

Trudu? — o protektorkę, czy o klientkę?

LUDWIKA

Tego nie rozumiem, łaskawa pani!

LADY

Więcej ma złośliwości, niżeli te rysy otwartego charakteru kazały się domyślać. Masz imię Ludwika. Jaki wiek, jeżeli się zapytać wolno?

LUDWIKA

Szesnaście lat.

LADY

*powstaje gwałtownie  
na stronie*

Rzecz skończona! — Szesnaście lat! Pierwsze uderzenie tej namiętności! Na nietykającym klawikordzie pierwszy srebrny głos wydobyty. Nic ponętniejszego. *Głośno*. Siadaj, jam ci przyjazna kochana dziewczyno! *na stronie* I on pierwszy raz kocha — cóż dziwnego, że się spotkały dwa promienie jednego poranka? *Biorąc ją za rękę, głośno*. Rzecz więc ułożona — zajmę się szczęściem twoim. *na stronie* Miłość — to jest słodkie, prędko ulatujące marzenie. *Kłapiąc LUDWIKĘ po twarzy, głośno*. Zofia moja idzie za męża. Ty jej miejsce weźmiesz. *na stronie* Szesnaście lat — to długo nie potrwa.

LUDWIKA

*z uszanowaniem całując jej rękę*

Wdzięczną jestem Milady za tę łaskę, jakbym ją przyjęła.

LADY

Patrzcie, jaka wielka pani! Dziewczyna twojego urodzenia uważać się powinna za szczęśliwą, gdy służbę znajdzie. Cóż poczniesz, moja droga! Cóż to? — czy masz za delikatne paluszki do roboty, czy ta twarzyczka tak cię dumną czyni?

LUDWIKA

Twarz moją, łaskawa pani, tak jak urodzenie, do zasług moich policzać nie można.

LADY

Albo myślisz może, że ta piękność nigdy nie przemienie? Biedne dziecię! Ktokolwiek ci to mówił, żartował z was obojga. Lica twoje w ogniu nie pozłacane. Co ci zwierciadło za stałe, za wieczne podaje, jest tylko powierzchowna, cienka pozłota, która prędzej czy później wielbicielowi twojemu w rękach zostanie. Cóż poczniesz wtenczas?

LUDWIKA

Żałować będę wielbiciela, Milady, który dlatego diament kupował, że go widział w złoto oprawnym.

LADY

*nie zważając na jej słowa*

Dziewczyna twojego wieku ma zawsze dwa zwierciadła przed sobą. Prawdziwe i wielbiciela swojego. Nielikatną otwartość pierwszego naprawia drugi pochlebstwem przyjemnym. Jedno zwierciadło brzydką ci kresę pokazuje — to dołek wdzięków, odpowiada ci drugie. Wy, młode dzieci tylko ostatniemu wierzycie, cokolwiek by pierwsze przedstawiało — a skaczecie od jednego do drugiego, aż zwierciadła rolę przemienią. Czegoś się tak we mnie wpatrzyła?

Piękno, Przemijanie



LUDWIKA

Właśnie w tej chwili, łaskawa pani, żal mi było twego błyszczącego, kosztownego rubinu, który zapewne nie wie, że jego właścicielka tak mocno przeciw próżności się oświadcza.

LADY

*rumieniąc się*

Żadnych uwag, zuchwała! Gdyby nie obietnice piękności twojej, cóżby cię na świecie miało zatrzymać od przyjęcia służby, gdzie się manier światowych nauczysz i pozbędziesz się mieszczańskich przesądów.

LUDWIKA

I mojej mieszczańskiej niewinności, Milady.

LADY

Zarzut nierozsądny! Największy rozpustnik nie odważy się coś hańbiącego nam przypisywać, jeżeli same z zachętą nie wystąpimy. Pokaż się, kim jesteś. Nadaj sobie godność i przystojność, a ja zaręczam, że twoja miłość uniknie wszelkiej pokusy.

LUDWIKA

Daruj mi łaskawa pani, że śmiem o tym wątpić. Pałace kobiet niektórych są miejscem ulubionym najzuchwalszej rozpusty. Któż córce biednego muzykanta zawierzy moc duszy, uniknięcia choroby wśród zarazy powszechnej? Kto przypuści, że Lady Milford swojemu sumieniu wiecznego trzyma robaka? Że złoto wydaje na to tylko, żeby się każdej chwili rumienić. Daruj mojej otwartości, łaskawa pani! ale spieszącej na uciechy, mój widok nie rozweseli ciebie. Powracającej nieznośnym będzie. O lepiej, lepiej, żeby nas strefy nieba rozdzielały, żeby morza płynęły pomiędzy nami. Zważ tylko na przyszłość, Milady! Gdy przyjdzie godzina rozważki, gdy chwile wycieńczenia uderzą i węże żalu napadną piersi twoje, z jakąż męczarnią czytać będziesz na twarzy twojej służebnej tę spokojność wesołą, którą niewinność nagradzać zwykła serce nieskażone. *Cofając się.* Jeszcze raz, łaskawa pani, proszę o przebaczenie!

LADY

*w mocnym poruszeniu*

Nieznośnie, że mi to mówi — nieznośniej, że prawdę mówi. *Zbliża się do LUDWIKI i oko w oko jej patrząc.* Dziewczyno! Ty mnie nie oszukasz! W tych zasadach kryje się interes osobisty — on ci służbę moją nienawistną czyni, on twoją mowę zapalił — ja go odkryję.

LUDWIKA

Choćbyś go odkryła, Milady! Choćbyś pogardliwie trącając nogą obudziła obrażonego robaka, któremu stwórca dał żądło przeciwko zniewagom — ja się twojej zemsty nie lękam, Milady! Biedna grzesznica na katowskim krześle tortur śmieje się ze świata zniszczenia. Moja nędzą tak wysoko doszła, że ją mowa moja śmiała i otwarta powiększyć nie zdoła. Chcesz mnie, pani, z prochu mojego pochodzenia wydobyć? — zapytam cię naprzód, co ci dało powód brać mnie za ograniczoną istotę, która się wstydzi swego urodzenia? Co cię uprawnia do narzucania się za stwórcę szczęścia mojego, nie wiedząc, czy ja zechcę to szczęście z twoich rąk przyjąć? Prawo moje do uciech tego świata rozdarłam: szczęściu jego skwapliwość przebaczyłam — dlaczegoż mi stratę moją przypominasz? Gdy Bóstwo nawet przed okiem stworzenia zakrywa promienie swoje, żeby jego najwyższy archanioł własnej się ciemności nie przeląkł — dlaczego ludzie tylko tak są okrutnie litościwi? Skąd pochodzi, Milady, że twoje wślawione szczęście zebrze w nędzy zazdrości i podziwienia? — Czy ci rozpacz potrzebna do zaspokojenia kaprysów szczęśliwości? O, daj mi raczej ślepotę, jedyne dobro, które mnie z barbarzyńskim losem pogodzić może. Drobnny owadzik raduje się życiem, w jednej wody kropelce — rzewny i szczęśliwy, dopóki mu o wielkim morzu nie opowiedzą, gdzie okręta wieją żaglami, igrają wieloryby. Ale ty mnie szczęśliwą chcesz widzieć? *Po chwili przystępując do MILFORD.* Jesteś ty szczęśliwą, Milady? LADY *oddala się od niej co prędzej* — LUDWIKA *idzie za nią i na jej łono ręką wskazując.* Powiedz, czy to serce nosi śmiejącą się postać twojego stanu? — I gdybyśmy dzisiaj łono za łono, los za los zamieniać mieli — gdybym ja w dziecinnej

niewinności, ufna twojemu sumieniu, jak matkę pytała — czyżbyś mi radziła, Milady, zamianę skutecznić.

LADY

*żywo poruszona na sofę się rzuca*

Rzecz nie do pojęcia! Nie, dziewczyno! Tę wielkość duszy na świat nie przyniosłaś — dla twego ojca jest ona za młodą — nie kłam, ja w twojej mowie słyszę innego nauczyciela.

LUDWIKA

Dziwi mnie, Milady, że tej chwili dopiero o nauczycielu wspominasz, a jednak przedtem uczyć mnie chciałaś.

LADY

*wstając prędko*

To nie do wytrzymania — a więc gdy ci się wymknąć niepodobna — wyznam, że go znam, że wiem o wszystkim, że wiem więcej, niżelibym wiedzieć chciała. *Zatrzymuje się — potem z żywością, która w końcu do wściekłości przechodzi.* Ale waż się tylko, nieszczęśliwa, waż się go kochać albo być kochaną. Co mówię? Chciej tylko myśleć o nim albo być jedną z myśli jego — ja mam potęgę, nieszczęśliwa! — straszną potęgę — jak Bóg żywy na niebie! — zgubioną będziesz.

LUDWIKA

Zgubioną będę bez ratunku, Milady, jeżeli go zmusisz, żeby cię kochał.

LADY

Rozumiem cię — on mnie kochać nie będzie, ja tę wstydliwą namiętność zwyciężę, powściągnę serce moje, ale i twoje rozbiję. Skąły i przepaście pomiędzy was rzucę, jak furia chodząc będę przez środek nieba waszego; moje imię przestraszy wasze pocałunki jak widmo zbrodniarza i twoja kwitnąca postać w jego objęciu zwiędnie jak mumia i zniknie na zawsze. Ja z nim szczęśliwą nigdy być nie mogę — ale i ty nie będziesz. Wiedz, nędzniczo, że szczęście niszczyć jest także szczęśliwością.

Szczęście, Zemsta

LUDWIKA

Szczęśliwość, Milady, której sama byłaś ofiarą. Nie bluźń sercu twojemu, nie jesteś zdolną pogroźki twoje skutecznić, nie jesteś zdolną dręczyć stworzenie, którego cała wina, że jednakie z tobą miało uczucie — a to właśnie uczucie, Milady, każe mi kochać ciebie.

LADY

*obejmując ją*

Gdzie jestem, gdzie byłam? — Com mówiła, komu ja zwierzałam się? — O Ludwiko! — Wielka, szlachetna, niebiańska duszo! Przebacz szalonej. Ja włosy twego nie dotknę, dziecię moje! Żądaj, rozkazuj — na rękach cię nosić będę — twoją przyjaciółką, twoją siostrą zostanę. Jesteś ubogą — patrzaj *zdejmując brylanty* ja sprzedam te brylanty, po-sprzedaję moje suknie, powozy i konie i wszystko ci oddam — tylko jego się wyrzecz.

LUDWIKA

*na stronie*

Czy się z rozpaczny mojej naigrawa — czy istotnie w okrutnym czynie nie miała żadnego udziału? Ha! — więc ja mogę jeszcze rolę bohaterki odegrać i niemożność moją za zasługę podać. *Stoi czas niejaki w zamysleniu — potem zbliża się do LADY i bierze jej rękę.* Weź go, Milady — dobrowolnie ustępuję ci człowieka, którego od serca skrwawionego żelazem piekła oderwali. — Ty sama może nie wiesz, Milady — żeś niebo dwóch kochanków rozdarła, rozdarła dwa serca, które Bóg złączył: żeś zdeptała stworzenie jak ty Bogu miłe, jak ty do szczęścia zrodzone, stworzenie co jak ty Stwórcę uwielbiało — a od dziś go nigdy uwielbiać nie będzie. Lady! Ostatni kurcz rozdeptanego robaka jak krzyk donośny idzie do ucha przedwiecznego. Zimno on patrzeć nie może na zabójstwo dusz w jego opiece będących. Teraz on do ciebie należy — weź go Milady! — bierz w jego objęcia, prowadź go do ołtarza — tylko nie zapominaj, że w ślubnym pocałunku widmo

samobójczyni wpadnie ci przed oczy! Bóg jest miłosierny — ja innego ratunku znaleźć sobie nie mogę.

*Wychodzi.*

## SCENA VIII

LADY *poruszona, stoi w nieprzytomności umysłu — wzrok osłupiały utkwiała we drzwi, przez które LUDWIKA wybiegła — po jakimś czasie jakby obudzona.*

Jak to było? — com ja czuła? — co ta nieszczęśliwa wyrzekła? Jeszcze, o nieba! jeszcze rozdzierają ucho te straszne potępiające mnie słowa: *Weź go*. Co nieszczęśliwa? Podarunek ostatniego oddechu twojego? Boże mój, Boże! Także<sup>66</sup> ja nisko upadłam — także mnie gwałtownie ze wszystkich tronów mojej dumy strącili, że czekam zgłodniała na to, co mi wspaniałość żebraczki wyrzuci z ostatniej walki życia i śmierci. *Weź go* i te słowa wymawia takim głosem, patrzy takimi oczami! — Emilio! Na to żeś wybiegła za granice płci twojej? — walczyła o piękne imię dziewicy brytańskiej, ażeby bogaty gmach twojego honoru zapadł się przed wyższą cnotą wypieszczoną mieszczańską? Nie — o nie, biedaczko dumna! — Emilia Milford da się zawstydzic, ale nigdy zhańbić. I ja mam się zrzeczenia się go na zawsze. Upokorz się, miękka, cierpiąca niewiasto — uciekajcie ode mnie słodkie, złote obrazy miłości! Niechaj wspaniałomyślność będzie jedyną przewodniczką moją. Ta kochająca się para musi zginąć, albo Milford zrzec się prawa swego i zgasnąć w sercu księżęcia. *Po chwili z żywością.* Stało się — usuwam straszną przeszkodę, rozrywam związki pomiędzy mną i księciem, wyrwę z łona mojego tę miłość wścieklą. W twoje objęcia rzucę się, o cnoto! Przyjm swoją żalującą córkę Emilię. Jakże mi błogo, jakże się lekką, jak podniesioną się czuję! Ze szczytu mojej potęgi zejść dzisiaj wielka jak słońce zapadające — moje państwo razem z miłością przepadnie — i tylko z sercem moim pójdę na to dumne wygnanie, *Idzie do SEKRETARZA.* Zaraz się stać musi — bez zwłoki, nim wdzięki lubego młodzieńca krwawą walkę serca na nowo sprowadzą.

*Siada i pisze.*

## SCENA IX

LADY, LOKAJ i ZOFIA, *później* MARSZAŁEK KALB i SŁUŻBA.

LOKAJ

Marszałek dworu pan Kalb z poleceniem od księcia przysłany, czeka w przedpokoju.

LADY

*pisząc*

Gubić się będą w domysłach wertepowe lalki księżęcia. W istocie, wypadek dosyć dziwny, żeby te przeświecne mózgownice gwoździami pozabijać. Skręca się granice dworskiej etykiety. Cały kraj się wzburzy.

LOKAJ I ZOFIA

Marszałek dworu, Milady!

LADY

*obracając się*

Kto? co? — Tym lepiej! Ten rodzaj stworzeń do posyłek tylko zdatny na świecie. Niech wejdzie!

LOKAJ *odchodzi.*

ZOFIA

*przystępując z troskliwością*

Gdybym się nie lękała Milady, że weźmiesz za zuchwałstwo — Panna Miller wybiegła z sali w nieprzytomności zupełnej — ty pani, masz twarz rozognioną, mówisz sama z sobą.

LADY *zawsze pisze.* Lękam się — cóż się tu stać mogło?

MARSZAŁEK *i uchodzi, kilka ukłonów robi do pleców MILADY — niepostrzeżony zbliża się, staje za krzesłem, stara się uchwycić połę jej sukni, którą całuje — i mówi bojaźliwie szepcząc:*

<sup>66</sup>także — tak z partykułą pytającą -że. [przypis edytorski]

Serenissimus. —

LADY

*przezieraając list i posypując go piaskiem*

Zwali na mnie ciężar czarnej niewdzięczności — byłam opuszczoną. — On dźwignął mnie z nędzy. Z nędzy? — Okropna zamiana! — Zedrzyj twój rachunek, zwodzicielu! Wieczny mój wstyd z lichwą<sup>67</sup> ci zapłaci.

KALB

*na próżno do LADY ze wszystkich stron się zbliżając*

Milady zdaje się trochę roztargnioną. Muszę się jednakże ośmielić. — *Bardzo głośno.* Serenissimus przysyła mnie do Milady, zapytując, czy tego wieczora bal, czy niemiecki ma być teatr?

LADY

*powstając ze śmiechem*

Jedno z dwojga, mój aniołku! — Tym czasem raczysz księcia na deser zanieść ten bilecik *Do ZOFII*. Ty, Zofio, rozkażesz, żeby zaprzężono i zwołasz do tej sali całą moją służbę.

ZOFIA

*oddalając się w poruszeniu żywym*

O nieba! — co ja przeczuwam? — co to będzie, Boże!

KALB

Łaskawa pani jest trochę *échauffée*<sup>68</sup>.

LADY

Tym mniej będzie udania. — Hura, panie marszałku nadworny! — miejsce jest do zajęcia. Wyborna pora dla swatów. *MARSZAŁEK wątpliwym wzrokiem list przeglądając.* Czytaj go, czytaj — ja chcę, żeby treść znano, nie tylko we cztery oczy.

KALB

*czyta; tymczasem w głębi sceny zbiera się SŁUŻBA MILADY*

Najłaskawszy panie!

Ugoda, którą tak lekkomyślnie zerwałeś, dłużej mnie obowiązywać nie może. Szczęście twojego kraju było warunkiem mojej miłości. Trzy lata trwało oszukanie. Zawiązka spada mi z oczu i nienawidzić muszę te łaski, po których lzy twoich poddanych kroplami spadają. Daruj miłość, której ja podzielać nie mogę, płaczącemu krajowi twemu — i od angielskiej księżniczki ucz się litości nad niemieckim ludem twoim. Za godzinę przejadę granicę.

*Joanna Norfolk.*

WSZYSCY SŁUŻĄCY

Granice?

KALB

*przestraszony kładzie list na stole*

Niechaj mnie niebo strzeże, moja droga i łaskawa pani! — Poseł musiałby tak mało dbać o głowę, jak ta, co ten list pisała.

LADY

W tym twoja rzecz, mój złoty chłopczyku! Wiem, niestety! że ty i tobie podobni, duszą się przy powtarzaniu tego, co drudzy zdziałali — ale moja rada była, by zawinąć list w pasztet zwierzyny — Serenissimus znajdzie go na półmisku.

KALB

*Ciel*<sup>69</sup> taka zuchwałość — rozważ tylko, Milady, pomyśl, w jak wielką wpadniesz niełaskę.

<sup>67</sup>z *lichwą* (daw.) — z procentem. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*échauffée* (fr.) — rozgorączkowana. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*ciel* (fr.) — niebo. [przypis edytorski]

LADY

*do SŁUŻBY*

Przerażeni jesteście, dobrzy ludzie moi, czekacie, jak się rozwiąże cała zagadka. Zbliźcie się do mnie, moi kochani! — Służyliście mi szczerze i pocziwie, więcej patrząc na oczy moje, jak na mój worek. Posłuszeństwo było waszą namiętnością, moja łaska waszą dumą. Smutny to los, że pamiątka wierności waszej jest razem wspomnieniem poniżenia mego — że moje dni najczarniejsze dla was najszcześniejszymi były! *Ze łzami*. Uwalniam was, dzieci moje! Nie ma już Lady Milford, a Joanna Norfolk za uboga, ażeby mogła długi płacić. Mój skarbnik niech całą szkatułkę pomiędzy was rozda. Pałac ten zostanie księciu — najuboższy z was odejdzie stąd bogatszym od swojej pani. *Wszyscy ze szczerym uczuciem całują jej ręce*. Rozumiem was, moi dobrzy ludzie! — Bądźcie mi zdrowi, bądźcie mi zdrowi na zawsze. Już słyszę powóz zajeżdżający. *Chce wychodzić, MARSZAŁEK zastępuje jej drogę*. Biedny człowieku! Czy jeszcze tu jesteś?

KALB

*który cały czas z podziwieniem najwyższej ograniczoności na list LADY spoziera*

I list ten mam oddać do własnych wspaniałych rąk najjaśniejszego pana?

LADY

Biedny człowieku! Do własnych wspaniałych rąk i dodasz jeszcze własnym wspaniałym uszom, że ja nie mogąc pieszo do Loretty wędrować, zarabiać będę codzienną pracą na życie, żeby się oczyścić z tego wstydu, żem nad nim panowała.

*Odchodzi, wszyscy za nią w poruszeniu.*

# AKT V

Zmrok. — Pokój MILLERA.

## SCENA I

*W ciemnym kącie pokoju LUDWIKA niema, nieruchoma, głowę swoją na ramieniu oparła. Po niejakej chwili wchodzi MILLER z latarnią — szuka po całym pokoju, nie postrzegając córki — na koniec stawia latarnię i zdejmuje kapelusz.*

MILLER

I tu jej nie ma! I tam nie znalazłem. Przebiegłem wszystkie ulice — byłem u znajomych, w każdej się bramie pytałem — i nikt mojego dziecka nie widział. *Po chwili.* Cierpliwości, biedny, nieszczęśliwy człowieku! Poczekaj do ranka, a może twoja jedynaczka na brzeg wypłynie. Boże, Boże! Serce moje bałwochwalczo do dziecka się przywiązało — ale ty karzesz surowo. Nie będę narzekać, nie będę szemrać, ojczye niebieski! Ale ty karzesz surowo.

*Pelen troski rzuca się na krzesło.*

LUDWIKA

*nie ruszając się z miejsca*

Masz słuszość, biedny starcze, że się zawczasu do straty gotujesz.

MILLER

*ze skokiem powstając*

Jesteś tu, moje dziecię? Tu jesteś? — ale dlaczegoś samotnie i bez światła?

LUDWIKA

Samotną nie jestem — gdy wokół ciemność mnie otoczy, najprzyjemniejsze wtenczas miewam odwiedziny.

MILLER

Bóg niechaj cię strzeże! — robak tylko sumienia za sowami pelza. Grzesznicy i złe duchy światła się lękają.

LUDWIKA

I wieczność, która wtenczas, ojczye, bez pośrednika z duszą rozmawia.

MILLER

Dziecię, dziecię! — jaka to jest mowa?

LUDWIKA

*wstaje i zbliża się ku ojcu*

Ty wiesz, ojczye! Ja w strasznej walce zwyciężyłam. Bóg dał siłę — i walka skończona. Ojczye! Płeć naszą zwykli wiotką i słabą nazywać — nie wierz im. Przed pajakiem, prawda, dreszcz wstrząsa nam ciało — ale czarnego potwora zgnilizny ze śmiechem ściskamy w objęciach naszych! — To dla wiadomości, bo dziś ojczye wesołą jest twoja Ludwika.

MILLER

Słuchaj córko — ja bym wołał — mnie by milej było — gdybyś ty jęczała.

LUDWIKA

Jak ja oszukam, jak ja podejść tyrana. Miłość jest śmielsza, chytrzejsza od złości — nie wiedział o tym ten człowiek ze smutną gwiazdą na piersiach — domyślni oni, dopóki z głową do czynienia, ale skoro się z sercem zadadzą, tracą rozum złoćnicy. Przysięga chciał kłamstwo swoje zabezpieczyć. — Przysięga, ojczye, wiąże żyjących, ale przy śmierci żelazny nawet łańcuch Sakramentu musi się rozpryskać. Ferdynand pozna Ludwikę swoją. Mój ojczye, chcesz być tak dobrym i ten list doręczyć?

MILLER

Do kogo, córko moja?

LUDWIKA

Dziwne pytanie! Nieskończoność i serce moje nie mają dosyć miejsca na jedną tylko myśl o nim — do kogoż bym innego pisać miała?

MILLER

*z niespokojnością*

Słuchaj, Ludwiko — ja list ten otworzę.

List

LUDWIKA

Jak zechcesz, ojcze! — ale go nie zrozumiesz, głoski tam leżą jak trupy i tylko żyją dla oczu miłości.

MILLER

*czyta*

Oszukany jesteś, Ferdynandzie! Zbrodnia bezprzykładna rozdarła związek serc naszych, ale przysięga straszna kazała zamilknąć ustom moim i ojciec twój szpiegów wszędzie rozstawił: ale jeżeli masz odwagę, mój kochanku — ja znam trzecie miejsce, gdzie przysięga nie obowiązuje i nikt nie podsłucha.

MILLER *zatrzymuje się i spoziera na trwarz* LUDWIKI.

LUDWIKA

Dlaczego na mnie spozierasz — doczytaj wszystkiego, mój ojcze!

MILLER

*czytając dalej*

— Ale odwagę mieć musisz, żeby kroczyć po ciemnej drodze, gdzie ci tylko Bóg i twoja Ludwika przyświecać będą. Przyjdź samą tylko miłością przejęty, wszystkie nadzieje, wszystkie żądze burzliwe zostaw za sobą — serce tylko przynieś. Jeżeli chcesz — za uderzeniem dwunastej godziny czekam cię na wieży karmelitańskiego kościoła — ale jeśli bojaźń cię przejmie — wymaż słowo „mocny” płci twojej nadane — bo cię słaba dziewczyna zawstydzi. MILLER *kładzie list, spoziera bolesnym i osłupiałym wzrokiem przed siebie, a potem cichym dodaje głosem.* — Gdzie to trzecie miejsce, córko?...

LUDWIKA

Nie znasz go? Istotnie nie znasz, mój ojcze! Dziwna rzecz — ręką go można namacać — Ferdynand znajdzie.

MILLER

Hum! — mów wyraźniej.

LUDWIKA

Nie znam na to pięknego słowa — ale nie strasz się, ojcze, gdy ci okropne wymienię. To trzecie miejsce — o, czemu miłość nazwy nie znalazła — ona by piękniejsze wyszukała imię — To trzecie miejsce, mój dobry ojcze! — pozwól mi wymówić — to trzecie miejsce — jest grób.

Grób

MILLER

*upadając na krzesło*

O mój Boże!

LUDWIKA

*bierząc do niego*

Och! Nie, mój ojcze! To przestрах tylko w słowie się gnieźdzący — odrzuć to słowo — a oczom twoim on się okaże, jak łożo ślubne, gdzie ranek swój złoty dywan rozściela — a wiosna sieje różnofarbne kwiaty. Grzesznik tylko jęczący w kościotrupie śmierć odmalował. Śmierć jest pięknym, pełnym wdzięków, kwitnącym chłopczykiem, do bożka miłości podobnym — nie tyle tylko zdradliwym. Cichy, usłużny geniusz, on duszy zmodowanego pielgrzyma podaje ramię uprzejme, przez grobowiec czasu przeprowadza. — Wiecznej szczęśliwości otwiera pałac czarowny — zaprasza tam przyjaźnie i znika potem.

Śmierć

MILLER

Co ty myślisz, córko! Zabójczą rękę chcesz podnieść na siebie.

LUDWIKA

Nie tak mów, mój ojcze! Ja chcę towarzystwo porzucić, gdzie mi niedobrze — przeskoczyć do kraju, za którym tęsknię — i jestże to grzechem?

MILLER

Samobójstwo jest najstraszniejszym grzechem, moje dziecię! Jedyнным grzechem, którego żałować nie można — bo zbrodnia i śmierć razem zapadają.

LUDWIKA

Okropnie! — ale tak się nie stanie — ja wskoczę do wody, mój ojcze — i na dzień przed śmiercią będę Boga wszechmocnego błagać o miłosierdzie.

MILLER

Złodziejstwa więc będziesz żałować, skoro twoją kradzież w bezpiecznym miejscu ukryjesz. Córko, córko! Nie naigrawaj się z Boga wtenczas, gdy jego pomoc najwięcej ci potrzebna — zapomniałaś modłów i miłosierny rękę swoją odciągnął od ciebie.

LUDWIKA

Jestże miłość zbrodnią, mój ojcze?

MILLER

Boga miłując — aż do występku kochać nie będziesz. Głęboko, moja jedyna, pochylałaś głowę ojca — głęboko i może aż do grobu pochylałaś. Ale nie chcę na twoje serce większego zwałać ciężaru. Córko, mówiłem do siebie, przed niedawną chwilą — myślałem, że sam jestem — ty słyszałaś i czemuż bym miał dłużej ukrywać? Byłaś moim bożyszczem — słuchaj Ludwiko! Jeżeli masz jeszcze miejsce na uczucia dla ojca twego — ty mi jesteś wszystkim — nie twojej więc własności się zrzekasz z sobą — i ja wszystko utracę. Patrzaj, włos mój siwieć zaczyna; czas nadchodzi, gdzie ojciec odbiera wypłatę kapitałów, w sercu dziecięcia złożonych. Chceszże mnie oszukać, Ludwiko, i z całym majątkiem moim opuszczać ojca starego?

Ojciec, Córka, Obowiązek

LUDWIKA

*całując jego ręce*

Nie — ojcze! Ja z tego świata jak wielka twoja dłużniczka odchodzę — i w wieczności wszystko z lichwą<sup>70</sup> ci wypłacę.

MILLER

Strzeż się, strzeż się, dziecię moje! Żebyś się w rachubie nie pomyliła. *Uroczyscie* Pomyśl: czy my się tam znajdziemy? Patrz — jak zbladłaś. Moja Ludwiko! rzecz prosta, ja cię na tamtym świecie nie dogonię, bo ty wcześniej odchodzisz.

LUDWIKA *upada w ojca objęcie — on ją przyciska do piersi i mówi potem smutnym głosem.*

O, córko, córko nieszczęśliwa, córko, może już na zawsze stracona — pamiętaj na słowa ojcowskie. Ja cię upilnować nie mogę — nóż ci odbiorę, ty się igłą zabijesz — ustrzegę cię od trucizny, ty się zadusisz sznurkiem korali — przestrzec cię tylko, napomnieć jeszcze mogę. Ludwiko, Ludwiko! Chceszże przyjść do tego, że twój niewierny obraz zwodniczy na strasznym moście między czasem i wiecznością ucieknie od ciebie? Będzieszże mieć odwagę z kłamstwem przychodzić do tronu przedwiecznego i winnymi oczyma szukając lalki twojej śmiertelnej, wołać do Boga: *przez ciebie, Stwórco, tutaj zachodzę?* A gdy jeszcze ten znikomy bożek marzenia twojego, robak jak ty, u nóg sędziego kłamstwo zada bezbożnej pewności twojej — gdy twoje nadzieje zwiedzione odeśle do wiecznego miłosierdzia, którego dla siebie zaledwie wyżebrać zdolny — co poczniesz wtenczas — co poczniesz, nieszczęśliwa? Obejmuje ją silniej — patrzy przenikliwie i bezprzytomny na jej lica, potem opuszcza ją gwałtownie. Już nic więcej nie wiem. — *Z wzniesioną ręką.* Nie odpowiadam ci za tę duszę, sędzio najwyższy! Rób, co chcesz, córko, nieś ofiarę smukłemu młodzieńcowi twemu, na radość piekła, na strapienie aniołów twoich. Ruszaj — zabierz wszystkie grzechy twoje, przyłóż ten ostatni, najstraszniejszy — a gdy jeszcze ciężar będzie za mały, dołącz do wagi przekleństwo moje. Oto jest nóż — przebij serce twoje, *tkając od płaczu* i serce ojca twego.

<sup>70</sup>z lichwą (daw.) — z procentem. [przypis edytorski]



LUDWIKA

*spiesząc do niego*

Wstrzymaj się, wstrzymaj, mój ojcze! Czulość okrutniej jeszcze zmusza, jak wściekłość tyrana. — Co ja pocznę? — Co ja mogę? — Co ja mam uczynić?

MILLER

Jeżeli pocałunki majora więcej cię palą, jak lzy ojca twojego — umieraj.

LUDWIKA

*po chwili męczącej walki z sobą*

Ojcze! oto masz rękę! ja — Boże, Boże! Co ja robię? Co ja myślę? Ojcze! Przysięgam — biada mi, biada! Występna, gdziekolwiek się zwrócę! Ale niech tak będzie. Ferdynandzie, Bóg patrzy na nas! — Oto niszczyć ostatnią o nim pamiątkę.

*Drze list.*

MILLER

*uradowany ściska ją serdecznie*

Teraz jesteś córką moją! Patrz mi w oczy — pozbywasz się kochanka, za to ojca szczęśliwym czynisz. *Śmiejąc się i płacząc.* Dziecię, dziecię, ani jednego dnia w moim życiu ja ciebie godny nie byłem — Bóg wie jakim sposobem, mnie, złemu człowiekowi, dostał się anioł taki! Moja Ludwiko, moje niebios! Mało ja znam, co to kochanie; ale pojmuję męczarnie tego, kto kochać już przestał.

LUDWIKA

Tylko precz z tego miasta, z tej okolicy, mój ojcze, gdzie moje towarzyszeki naigrawać się ze mnie mogą, gdzie moje dobre imię stracone na zawsze. Och! Precz, precz od miejsca, gdzie przeszłej szczęśliwości pamiątki silnie do mnie przemawiać będą. Och! Prędziej, jeżeli to podobna<sup>71</sup>.

MILLER

Gdzie tylko zechcesz, córko moja! Chleb pański wszędzie rośnie i wszędzie znajdą się uszy, żeby moją skrzypkę uczcili. O! Choćbym wszystko utracił — ja twój smutek do lutni zawołam; zaśpiewam piosenkę o córce, która własne serce rozdarła, by ojca uszanować — i z piosenką ode drzwi do drzwi żebrac będziemy — a z rąk ludzi rozrzewnionych lepiej nam jałmużna smakować będzie.

Muzyka, Smutek, Żebrak

## SCENA II

FERDYNAND, *Poprzedzający.*

LUDWIKA

*postrzegłszy go, rzuca się z przestraczem na szyję ojca*

Boże! On tu — zgubiona jestem!

MILLER

Kto? — gdzie?

LUDWIKA

*z odwróconą twarzą wskazując ręką MAJORA*

On sam! — patrz za siebie, ojcze! — przyszedł mnie zamordować!

MILLER

*postrzegając MAJORA cofa się*

Co? — wy tu, baronie?

FERDYNAND

*zbliiia się powoli, staje naprzeciw LUDWIKI i przenikliwy wzrok w nią zatapia*

Sumienie przerażone! Dziękuję! Twoje wyznanie jest straszne, ale prędkie i pewne oszczędza mi męczarnie. — Dobry wieczór ci, Millerze!

MILLER

Na imię Boga, czego żądasz, baronie? Co cię tu sprowadza? Co znaczy ten napad?

<sup>71</sup>podobna (daw.) — możliwe. [przypis edytorski]

FERDYNAND

Był czas, pamiętam, gdy dzień na sekundy rozdrabniano; gdzie tęsknota za mną czepiała się wag leniwego zegara i czyhała na uderzenie pulsu, gdy ja się miałem ukazać. Jakimże sposobem dzisiaj was przerażam?

MILLER

Odejdź, odejdź, baronie! — jeżeli iskra ludzkości<sup>72</sup> w twoim sercu została, jeżeli zamordować nie chcesz tej, którą kochać udawałeś — uciekaj, jednej chwili nie przebywaj tutaj. Szczęście znikło z chaty mojej, od pory, jakieś w niej nogę postawił. Zawołałeś nędzę pod tę strzechę, gdzie tylko radość gościła. Jeszczeż ci nie dosyć? Czy chcesz rozdzierać ranę, którą twoja znajomość memu jednemu dziecku zadała!

FERDYNAND

Szczególny człowieku! Właśnie przychodzę coś pociesającego córce twojej powie-dzieć.

MILLER

Zapewne nowe nadzieje do nowej rozpacz. Idź, posłanniku nieszczęścia — rysy twoje towar zdradzają.

FERDYNAND

Przyszło na koniec spełnienie moich nadziei! Lady Milford, najstraszniejsza przeszkoda naszej miłości, tej chwili kraj opuściła. Ojciec wybór mój przyjmuje. Los więc przestał nas ścigać i gwiazdy szczęśliwe nad nami wschodzą. Przyszedłem słowa dotrzymać i moją narzeczoną zaprowadzić do ołtarza.

MILLER

Słyszysz go córko? Słyszysz, jak się naigrawa z twoich nadziei zwiedzionych. W istocie, baronie! Pięknie przystało zwodzicielowi ostrzyć swój dowcip na własnym występku.

FERDYNAND

Myślisz, że żartuję? Na mój honor, nie. Co mówię, jest tak prawdziwym, jak prawdziwa miłość mojej Ludwiki, i święcie dotrzymam — jak ona przysięg swoich dotrzymała. Nie znam większego zaklęcia — wąpiszże jeszcze? Dziwna rzecz! — Kłamstwo w tym domu musi być kursującą monetą, kiedy prawda tak mało wiary znajduje. Nie wierzycie słowom moim, wierzcie więc świadectwu na piśmie.

*Ciska na LUDWIKĘ list jej do KALBA.*

LUDWIKA

*rozwijają papier i pada na krzesło z twarzą pobladłą*

MILLER

*nie postrzegając LUDWIKI do MAJORA*

Co to znaczy, baronie? — ja cię nie rozumiem.

FERDYNAND

*prowadząc go do LUDWIKI*

Ale ona dobrze mnie zrozumiała.

MILLER

*rzucając się na nią*

Boże! Córko moja!

FERDYNAND

Błąda jak śmierć! — teraz dopiero podoba mi się córka twoja! Tak piękną jeszcze nie była ta pobożna, pocziwa córka twoja — z tą trupią twarzą. Tchnienie sądu ostatecznego, co zedrze powłokę z każdego kłamstwa, zdmuchnęło z jej twarzy farbę, którą by kuglarka aniołów nawet światła oszukać mogła. To jej twarz najpiękniejsza — to jest twarz prawdziwa — pozwól, niech pocałuję.

*Idzie do niej.*

<sup>72</sup>ludzkość — tu: miłosierdzie. [przypis edytorski]

MILLER

*wstrzymując*

Precz, precz — nie tykaj ojcowskiego dziecka. Od twoich pieśczoć ochronić jej nie mogłem, ale od zniewag zasłonię.

FERDYNDAND

Czego chcesz tu głowo siwa! z tobą nic nie mam do czynienia, nie mieszaj się do gry zupełnie straconej — albo możesz ty mędrszy, niżeli mi się zdawało — możesz roztropność sześciudziesiąt lat twoich do romansu córki twojej wynajął i włos twój siwy rzemiosłem skalał hańbiącym. O! Jeśli tak nie jest — nieszczęśliwy, stary człowiecze, pochyl głowę i umieraj — jeszcze wśłodkim zaśniesz złudzeniu, że byłeś ojcem szczęśliwym. Chwila później — a strącisz jadowitą jaszczurkę do jej piekielnej ojczyzny, przeklinać będziesz dar i dawcę i z bluźnierstwem Boga zstąpisz do grobu. *Do LUDWIKI.* Powiedz, nieszczęśliwa! Pisałaś list ten?

MILLER

*napominając córkę*

Na Boga, córko! Nie zapominaj, nie zapominaj.

LUDWIKA

O! Ten list, mój ojciec!

FERDYNDAND

Szkoda, że nie we właściwe wpadł ręce? Pochwalony niech będzie przypadek; większe on zdziałał rzeczy niżeli rozum szperający — i więcej się na tym dniu przyda, niżeli dowcip uczonych. Co mówię — przypadek? O! Opatrzność, która czuwa nad wróblem padającym, czemuż by szatanowi nie miała zdjąć maski? — Odpowiedzi czekam — pisałaś ten list?

MILLER

Stałości, córko moja! — jeszcze jedno *tak* a wszystko zwyciężone.

FERDYNDAND

Wybornie, wybornie! Ojciec oszukany — wszyscy oszukani. Patrzcie tylko na nią — oto stoi zhańbiona, język jej nawet wypowiada posłuszeństwa do ostatniego kłamstwa. Przysiąż na Boga, na strasznego i sprawiedliwego Boga — czy pisałaś ten list?

LUDWIKA

*po długiej walce*

Pisałam.

FERDYNDAND

*przerażony*

Ludwiko! — nie — na byt duszy mojej, ty kłamiesz. Na łożu tortur niewinność nawet przyznaje się do występku, którego nigdy nie popełniła. Ja cię porywczo pytałem — nieprawdaż Ludwiko, wyznałaś bom cię pytał porywczo?

LUDWIKA

Wyznałam prawdę.

FERDYNDAND

Nie, powiadam — nie! nie! — tyś go nie pisała. To nie twoja ręka — a gdyby nawet tak było, czyż trudniej rękę naśladować, jak serca zabijać? Mów prawdę, Ludwiko! — albo nie, nie! — nie mów jej; mogłabyś domysł potwierdzić i mnie zgubić na wieki. Kłamstwa, kłamstwa wyszukaj! — O, gdybyś znała jakie i anielską twarzą mogła wymówić — tylko uszy i oczy przekonać, choćby serce oszukać. O, gdybyś mogła, Ludwiko! Niech prawda natenczas w tym jednym oddechu ze świata ucieka — niech dobra sprawa uporny kark swój do dworskiego schyla ukłonu. — Pisałaś ten list?

LUDWIKA

Przez Boga, przez strasznego i sprawiedliwego Boga — pisałam.

FERDYNDAND

*po chwili z wyrazem najżywszej boleści*

Kłamstwo

Kobieto! Kobieto! Z tą twarzą, w której stoisz przede mną, gdybyś raje rozdawała, w krainie nawet potępienia nie znajdziesz nabywcy. Wiesz ty, czymś mi była, Ludwiko? Niepodobieństwo — nie, ty nie wiesz, żeś mi wszystkim była. Wszystkim! Nędzne i ubogie słowo — a wieczność zaledwie obejść go zdoła. W tym słowie biegi światów kończą drogę swoją. Wszystkim! I tak zuchwale grać z tym wielkim słowem? — okropnie!

LUDWIKA

Masz moje wyznanie, panie Walterze. Potępiłam siebie — idź więc, opuść ten dom, gdzie tyle nieszczęścia doznałeś.

FERDYNAND

Dobrze! Dobrze! — Już jestem spokojny. Mówią, że i kraj spokojny, po którym przeszła zaraza — taki ja spokojny! *Po chwili*. Jeszcze jedna prośba, Ludwiko — ostatnia! Głowę moją pali gorączka — trzeba mi ochłody. Przyrządź mi, jeżeli wola, szklanekę limonady.

LUDWIKA *odchodzi*.

### SCENA III

FERDYNAND i MILLER.

*Obaj po dwóch stronach izby przechadzają się czas niejaki, nie mówiąc i słowa.*

MILLER

*zatrzymuje się i smutnie spogląda na MAJORA*

Kochany baronie! — jeżeli to smutku może ci umniejszyć, to wierz, że cię szczerze żałuję.

FERDYNAND

Zostaw to — Millerze! *Znowu się przechadza*. Millerze! Zaledwie pomnę<sup>73</sup>, jak ja do domu twego wszedłem. Z jakiego to powodu?

MILLER

Jakto, panie majorze? Chciałeś brać lekcje na flecie — czy już nie pamiętasz?

FERDYNAND

Obaczyłem córkę twoją! *Po chwili*. Nie dotrzymałeś mi słowa, przyjacielu! Ułożyliśmy się o spokój w moich samotnych godzinach — tyś mnie oszukał i sprzedał jaszczurkę. Nie przerażaj się, starcze! *Wzruszony wiesz mu się na szyi*. Ty nic nie wiesz!

MILLER

*ocierając łzy*

Bóg świadkiem wszechmogący!

FERDYNAND

*przechadzając się*

Dziwnie, niepojęcie gra z nami przedwieczny! Na cienkich niedojrzanych niciach straszne ciężary zawiesza. — Gdyby człowiek wiedział, że z tym jabłkiem truciznę pożywa. — Hum! Gdyby wiedział? *W żywym poruszeniu bierze za rękę MILLERA*. Człowieku! Ja ci za drogo flet twój zapłaciłem — a tyś nic nie zyskał — a może wszystko utracił. *Odchodząc od niego*. Nieszczęśliwe granie na flecie, bogdaj by mi nigdy do głowy nie przyszło.

MILLER

*starając się ukryć swoje wzruszenie*

Limonada za długo bawi<sup>74</sup>. Pójdę obaczyć, jeżeli mi za złe nie weźmiesz.

FERDYNAND

To nie spieszy, kochany Millerze! *Do siebie*. Ojcu przynajmniej nie spieszy. *Głośno*. Zostań: coś jeszcze miałem cię zapłacić? — Ha! — Czy Ludwika jest twoim jedynym dziećciem? Nie masz innych?

<sup>73</sup>*pomnieć* (daw.) — pamiętać. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*bawić* (daw.) — tu: zwlekać. [przypis edytorski]

MILLER

Nie mam innych, baronie! — i nie chcę mieć innych. Dziewczyna całe serce ojcowskie zabrała. — Co mogę mieć miłości, to jej dałem wszystko.

FERDYNAND

Ha! — obacz pocziwy Millerze, czy napój gotowy.

## SCENA IV

FERDYNAND *sam*.

Dziecko jedyne! Czujesz to, zabójco? Jedyne, słyszysz? Jedyne dziecko, zabójco! — i człek biedny na tym świecie nic nie posiada, tylko skrzypce i swoją jedynaczkę. Chcesz ją zabrać, ukraść ostatni grosz żebraka — połamać szczudła i pod nogi rzucić kulawemu? I na toż serce moje pozwoli? A gdy przybieży i niespodzianie wszystkie swoje uciechy obaczy spadające z twarzy dziecięcia, wejdzie — a ona leży — kwiat zwiędły, umarły! Zdeptana jedyna — ostatnia nadzieja. Ha! I staje przed nią, i cała natura oddech mu wstrzymuje, i oko jego na próżno przebiega całą bezludną nieskończoność, Boga wzywa i Boga znaleźć nie może. — I mój ojciec jedyne tylko ma syna — jedyne syna — ale nie jedyne bogactwo. *Po chwili*. Cóż on straci? Dziewczyna, dla której najświętsze uczucia miłości igraszką tylko były, czyż może ojca uszczęśliwić? Nie! Nie! I mnie się nagroda należy, że depczę jaszczurkę, nim się z żądłem porwie na ojca.

## SCENA V

MILLER i FERDYNAND.

MILLER

Natychmiast podadzą ci, baronie! Ot tam siedzi biedna dziewczyna i na śmierć się zapłacze. Z limonadą lzy ci swoje przyniesie!

FERDYNAND

Gdyby tylko lzy przyniosła! Ale ponieważ o muzyce mówić zaczęliśmy, Millerze! *Dobrywając kieski*. — Przypominam sobie, że ci dłużny jestem!

MILLER

Co? Jak to? — daj pokój, baronie! Za kogo mnie trzymasz? Pieniądz mój w dobrym ręku. Nie rób mi wstydu — mam ufność w Bogu, że się nie ostatni raz widzimy.

FERDYNAND

Kto może wiedzieć? — Zabierz, Millerze — idzie o śmierć i życie.

MILLER

*śmiejąc się*

O! Jeżeli dla tego, baronie! to z tobą można ważyć bezpiecznie.

FERDYNAND

Ważyłbyś w istocie — czyżeś nie słyszał, że młodzieńce umierają — że umierają młodzieńce i dziewice, dzieci nadziei, zamki na lodzie zwiedzionych rodziców. Czego starość i robak nie dogryzie — obala piorun czasami. I twoja Ludwika śmiertelna.

MILLER

Mam ją od Boga!

FERDYNAND

Słuchaj — ja ci powiadam, że ona śmiertelna. Ta córka jest ci okiem w głowie; sercem się i duszą do niej przywiązałeś. Bądź ostrożny, Millerze! Rozpaczający gracz tylko na jedną kartę stawia swoje wszystko. — Szalonym jest kupiec, który na jeden okręt cały majątek ładuje. Pamiętaj na moją przestrożę. Ale dlaczego nie bierzesz twoich pieniędzy?

MILLER

Jak to, panie? — ta cała potężna kiesa? Co myślisz, baronie?

FERDYNAND

O moim długu. *Rzuca worek na stół, tak że sztuki złota wylatują*. Przecież go całe życie zatrzymać nie mogę.

MILLER

Co to jest? Na Boga, to nie srebra dźwięk. *Zbliża się do stołu.* Na wszystkich świętych, baronie! Co się tobie stało? Co robisz? Może roztargnienie. — Oto leży — albo chyba czary! Dalibóg, to gotowe, zólte i wcielone złoto. Nie, szatanie! W sidła mnie nie złowisz!

Bogactwo

FERDYNAND

Czyś ze starej, czy z nowej pociągnął butelki?

MILLER

Grzmoty i pioruny — patrzajże, majorze! Złoto!

FERDYNAND

I cóż więcej?

MILLER

Do kata! — ja mówię w imię Chrystusa Boga — złoto!

FERDYNAND

I cóż w tym dziwnego.

MILLER

*po chwili zbliżając się do MAJORA*

Łaskawy panie! Jeżeli mnie do niegodziwego czynu chcesz użyć, wiedz, że jestem uczciwym, prawym człowiekiem — tak wiele złota, Bóg wie, dobrem się nie zarabia.

FERDYNAND

Bądź spokojny, kochany Millerze — pieniądz ten zarobiłeś i Bóg niech zachowa, żebym sumienie twoje miał brać za zapłatę.

pieniądz

MILLER

*skacząc w górę*

Moje więc, z Boga wolą i pozwoleniem do mnie należy, *Idąc do drzwi i krzycząc.* Żono, córko — chodźcie tu — Wiktoria. — Ale Boże dobry, jakże ja przyszedłem do tego bogactwa, jak ja zasłużyłem, jak się wypłacę — he?

FERDYNAND

Nie lekcjami muzyki, Millerze! Pieniędzmi tymi płacę ci — *przerażony urywa płacę* ci — *po chwili z boleścią* trzymiesięczny sen o córce twojej.

MILLER

*porywając go za rękę*

Łaskawy panie! — gdybyś ty biednym, nędznym był mieszczaninem — a moja dziewczyna kochać cię nie chciała — przebiłbym ją — ale *patrząc na pieniądze* ja mam teraz wszystko, a tobie nic nie zostaje i z tym cała moja radość znika. — Co?

FERDYNAND

Niech cię to nie obchodzi, przyjacielu — ja odjeżdżam do kraju, gdzie ta moneta nie kursuje.

Pieniądz, Śmierć

MILLER

*ciągle w pieniądze mając wzrok wlepiony*

Niech więc będą moje — boli mnie tylko, że ty, panie, odjeżdżasz. Poczekał, jak ja to teraz występować będę, jak pyski nadmę — *nakłada kapelusz i pompatycznie przechadza się.* Na wielkim placu naprzód na skrzypcach przegrywam, numer piąty drei-kenigu<sup>75</sup> palę — a niech mnie diabeł porwie, jeżeli kiedy na trzygroszowym targowisku usiędę.

*Chce odchodzić.*

FERDYNAND

Zostań tu, milcz i schowaj pieniądze. Ten wieczór tylko nie odzywaj się — dla mojej przyjemności zaniechaj na zawsze godzin twojej muzyki.

<sup>75</sup>*drei-kenig* — gatunek tytoniu. [przypis edytorski]

MILLER

*z większym jeszcze zapalem trzymając go za kamizelkę*

Panie! A moja córka? — Pieniądze człowieka bogatym nie robią — nie — ja kartofle pożywałem albo dziką ptaszynę, aby być sytym, ten surdut zawsze dobry, byle słońeczko pana Boga przez łokcie nie wejrzało — dla mnie to terefere. Ale dziewczyna musi mieć wszystkiego pod dostatkiem; z oczu jej wyczytam — natychmiast dostarczę.

FERDYNAND

Cicho — o cicho!

MILLER

I po francusku z reguł uczyć się będzie i menueta tańcować i śpiewać — tak, że aż w dziennikach o niej napiszą. Na głowie musi mieć piękny czypeczek, jak pani konsyliarzowa<sup>76</sup> i kidebari<sup>77</sup> — czy jak je nazywają — słuchaj — o córce muzykanta na cztery mile wokoło będzie co rozpowiadać.

FERDYNAND

*porywając go za rękę i głosem przerażającym*

Nic więcej — nic więcej. Na Boga, milcz, cicho. — Dzisiaj tylko bądź cicho. — To jedyne zawdzięczenie, jakiego żądam od ciebie.

## SCENA VI

LUDWIKA *niosąc limonadę i Poprzedzający.*

LUDWIKA

*z wyplakanyimi oczami i drżącym głosem podając na tacy limonadę MAJOROWI*

Jeżeli niemocna — rozkażesz panie!

FERDYNAND

*bierze szklankę, stawia na stole i obraca się do MILLERA*

Prawie bym zapomniał — czy mogę cię Millerze, o jedną rzecz prosić — zrobisz mi małą usługę?

MILLER

Tysiąc, nie jedną! Co rozkażesz?

FERDYNAND

Będą mnie czekać przy stole — na nieszczęście w złym jestem humorze i niepodobna by mi było między ludzi wchodzić. Pójdź do ojca mego i wytłumacz mnie.

LUDWIKA

*przeżona*

Ja pójść mogę.

MILLER

Do prezydenta?

FERDYNAND

Nie do niego samego — powiesz w przedpokoju lokajowi. Na znak oto jest mój zegarek. Znajdziesz mnie za powrotem — zaczekaj tylko na odpowiedź.

LUDWIKA

*z niespokojnością*

Czy ja niemogłabym zastąpić.

FERDYNAND

*do MILLERA*

Czekaj! — jeszcze jedno. Tęgo wieczora list zapieczętowany przyszedł do mego ojca. — Może ważne sprawy.

*Dając mu list.*

<sup>76</sup>konsyliarzowa (daw.) — żona lekarza. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>kidebari — (z fr. *cul de Paris*) rodzaj torebki. [przypis edytorski]

MILLER  
Dobrze, dobrze, baronie!

LUDWIKA  
*czepiając się ojca*  
Ale mój ojcie! — ja bym mogła to wszystko uczynić.

MILLER  
Ciemną noc mamy — a ty sama, moja córko!  
*Odchodzi.*

FERDYNAND  
Poświeć ojcu, Ludwiko! LUDWIKA *ze światłem odprowadza MILLERA*, FERDYNAND *zbliża się do stołu i do limonady wysypuje truciznę*. Musi, musi! Nadziemska potęga straszliwie tak z góry wymawia; zemsta nieba podpisuje, jej dobry anioł opuszcza ją.

## SCENA VII

FERDYNAND i LUDWIKA.

LUDWIKA *wolnym krokiem powraca, stawia światło na stole i siada na stronie przeciwnej od majora z twarzą w ziemię spuszczoną. Kiedy niekiedy nieśmiało i ukradkiem spoziera na niego*. FERDYNAND *wzrokiem obląkanym patrzy w jeden punkt przed siebie*.

*Długie milczenie.*

LUDWIKA  
Czy chcesz mi towarzyszyć, panie Walterze, na fortepianie? *Otwiera pantalon*, FERDYNAND *nie daje żadnej odpowiedzi*. Winieneś mi rewanż w szachy. Czy chcesz grać, panie Walterze? *Żadnej odpowiedzi*. Panie Walterze! Puliare<sup>78</sup>, który mu wyhaftować obiecałam, już jest zaczęty. Może wola desę zobaczyć? — *Żadnej odpowiedzi* O, jakże nędzną jestem!

FERDYNAND  
To może być prawdą.

LUDWIKA  
Nie moja w tym wina, że cię, panie Walterze, tak źle zabawiam.

FERDYNAND  
*ze śmiechem szyderczym*  
Zapewne, nie w tobie wina mojej lęklivej nieśmiałości.

LUDWIKA  
Wiedziałałam dobrze, że się razem znajdować nie możemy — i dlatego strach mnie przejął, gdyście ojca wysłali, panie Walterze! Zdaje mi się, że chwila ta dla nas obojga jest nieznośną. Jeżeli mi pozwolisz, zaproszę kilka towarzyszek moich.

FERDYNAND  
Bardzo dobrze — a ja kilku moich towarzyszy sprowadzę.

LUDWIKA  
*patrząc na niego z zdziwieniem*  
Panie Walterze!

FERDYNAND  
Na honor! To jest najwyborniejszy pomysł człowieka będącego w podobnym położeniu. Z tego tęsnego duetu zrobimy wieczór wesoły i w uciesach lubieżnych mścić się będziemy kaprysów miłości.

LUDWIKA  
W dobrym humorze jesteś, panie Walterze.

---

<sup>78</sup>puliare — portfel. [przypis edytorski]



FERDYNAND

W wybornym — mógłbym wszystkich chłopców za sobą pędzić po ulicy. Wsamej rzeczy, Ludwiko, twój przykład mnie nauczył — i odtąd będziesz moją przewodniczką. Głupi tylko gada o wiecznej miłości. Ciągła jednostajność nudzi — zmiana zaś jest perłą wszystkich przyjemności. Hej, Ludwiko! zgoda z tobą. Skakać będziemy od miłości do miłości — z błota w błoto się tarzać. Ja tu, ty tam — kiedyś straconą spokojność znajdziemy w domu uciechy. Może wtenczas po długiej na wyścig rozpuście, zdybiemy się niespodzianie, dwa wywiędłe szkielety, i znowu się poznamy z familijnych rysów, wspólnych dzieciom tej matki. Hańba i przesyta może ułożą w nas tę harmonię, której najczulsza niegdyś miłość utrzymać nie mogła.

LUDWIKA

Młodzieńcze! Młodzieńcze, nieszczęśliwym jesteś, chcesz jeszcze na nieszczęście zasłużyć?

FERDYNAND

Nieszczęśliwy jestem, kto ci powiedział? — Kobieto! Zanadto jesteś występna, żebyś sama czuć mogła, jakże innych ludzi osądzisz uczucia? Nieszczęśliwy, powiadasz? — to słowo z grobu zdolne wściekłość moją zbudzić. Wiedziałaś, że będę nieszczęśliwym! Śmierć i potępienie! Wiedziała, a zdradziła jednakże! Patrz, wężu! Tu była ostatnia nadzieja przebaczenia. Twoja mowa gubi cię na wieki. Dotychczas zbrodnię twojej przypisać mogłem prostocie; w pogardzie może byś zemsty unikła. *Porywając napój*. Lekkomysłną więc nie byłaś — ograniczoną nie byłaś — byłaś tylko szatanem. *Pije*. Limonada tak słaba, jak dusza twoja — spróbuj.

LUDWIKA

O, nieba! Nie darmo tej się sceny lękałam!

FERDYNAND

*rozkazującym głosem*

Spróbuj.

LUDWIKA

*bierze niechętnie szklankę i pije*

FERDYNAND

*odwraca się pobladły. Skoro LUDWIKA napój do ust przytknęła, oddala się w tylną część pokoju*

LUDWIKA

Limonada jest dobra.

FERDYNAND

I dobrze skutkuje.

LUDWIKA

*stawiając szklankę*

O! gdybyś wiedział, Walterze, jak okropnie duszę moją obrażasz!

FERDYNAND

Co?

LUDWIKA

Przyjdzie czas, Walterze!

FERDYNAND

Na czas niedługo czekać będziemy.

LUDWIKA

Przyjdzie czas, gdy wieczór dzisiejszy ciężko na twoje serce upadnie.

FERDYNAND

*szybko się przechadzając, odpina szarfę i szpadę*

Dobranoc służbie pańskiej.

LUDWIKA  
Mój Boże! Co ci jest?

FERDYNNAND  
Ciasno i gorąco — to mi ulży trochę.

LUDWIKA  
Napij się — napij jeszcze, napój cię ochłodzi.

FERDYNNAND  
Ochłodzi niezawodnie. Lubieżnica ma dobre serce — ale wszystkie one jednakowe.

LUDWIKA  
*z całą mocą miłości zbliża się do niego*  
I toż twojej Ludwice, mój Ferdynandzie?

FERDYNNAND  
*odpychając ją*  
Precz, precz te oczy czule, mógłbym jeszcze upaść. Przyjdź, wężu, w strasznej swojej postaci; skacz na mnie, gadzie! Wytężaj przede mną skrzypiące stawy, pnij łeb swój do góry — ukaż się przerażająco, jak cię przepaść widziała — ale aniola nie udawaj, aniola nie przybieraj już postaci — za późno — zdeptać cię muszę jak jaszczurkę albo zrozczać. Zlituj się nad sobą.

LUDWIKA  
Och! Czemuż tak daleko zejść musiało?

FERDYNNAND  
*z boku na nią spoglądając*  
To piękne dzieło niebieskiego rzeźbiarza — któż by uwierzył — któż by mógł uwierzyć? *Biorąc jej rękę i wznosząc do góry* Nie chcę cię, Boże, Stwórcu nasz, obwiniać. — Ale dlaczego truczną kładziesz w tak piękne naczynie? Jak zbrodnia może przebywać w tej sferze nieba łagodnej? — O! Dziwne przeznaczenie!

LUDWIKA  
To słyszeć — i milczeć!

FERDYNNAND  
A jej głos słodki i melodyjny — jakże tyle harmonii z porwanych strun dobywać można? *Z okiem upojenia spoglądając na nią.* Wszystko tak piękne, tak kształtne, tak bosko doskonałe! Wszędzie dzieło pasterskich godzin Boga widoczne. Zdaje się, jakby świat tylko powstał na to, żeby Stwórcę tym jego arcydziełem rozweselić! — W duszy się tylko Bóg pomylił! Czy podobna, aby ten wyrodek w naturze bezkarnie się ukazał? *Opuszczając ją.* Albo może widział on spod dłuta swego wychodzące rysy aniola i pomyłce żeby zapobiec, szatańskie serce rzucił do jej łona?

LUDWIKA  
O, zbrodnicza zarozumiałości! Zamiast wyznać porywczność twojego sądu, na niebo uderzasz.

FERDYNNAND  
*z płaczem rzucając się jej na szyję*  
Jeszcze raz, Ludwiko! — jak na dniu pierwszym naszych pocałunków — gdyś nieśmiało imię Ferdynanda wymawiała i na ognistych ustach twoich pierwszy raz wyraz *ty* zabrzmiał. Wtenczas ziarno nieskończonych, niewysłowionych uciech w pełnym się kłosisie do nas uśmiechało. Wieczność jak dzień majowy świeciła oczom naszym, złote stulata jak oblubienice skacząc, migwały we wzroku dusz naszych. O, jakże w tej chwili ja byłam szczęśliwy! Ludwiko! Ludwiko! Na coś to uczyniła?

LUDWIKA  
Płacz, płacz Walterze! — boleść twoja będzie sprawiedliwszą niżli zagniewanie.

Piękno

FERDYNAND

Mylisz się — to łzy nie moje, to nie ta ciepła, ta rozkoszna rosa, co balsamem spływa po zranionej duszy i koło uczucia obraca na nowo, to tylko jednotne, zimne krople z oczu — ostatnie pożegnanie mojej miłości. — To łzy na twoją duszę, Ludwiko! — Łzy na bóstwo, które nieskończonej dobroci w tobie chybiło, najwspanialsze arcydzieło swoje dobrowolnie zwichnęło. Sądem moim cała natura powinna żalobę nałożyć, przerażoną być wypadkiem, który wpośród niej zaszedł. Nic dziwnego, że człowiek upada, że raj traci grzechem — ale gdy zaraza morowa aniołów nieba dotyka, niech cała natura płaczem i zgrzytaniem zębów odezwie się do Boga.

LUDWIKA

Nie przyprowadzaj mnie do ostateczności, Walterze! I ja mam moc duszy — ale ludzką tylko mogę próbę wytrzymać. Walterze! To słowo tylko, a potem rozdział... Los okropny pomieszał serc naszych rozmowę. Gdybym ja mogła usta otworzyć, Walterze! odkryłabym rzeczy — rzeczy. — Ale straszne przeznaczenie związało mój język i miłość moją. — Milczeć muszę, Walterze, gdy mnie pospolitą rozpustnicą nazywasz.

FERDYNAND

Czy jeszcze ci dobrze, Ludwiko?

LUDWIKA

Do czego to pytanie?

FERDYNAND

Przykro by mi było z kłamstwem cię wyprawiać.

LUDWIKA

Zaklinam cię, Walterze!

FERDYNAND

*w gwałtownym poruszeniu*

Nie, nie! Zemsta byłaby piekielną, Bóg niech mnie strzeże! Na tamten świat nie chcę ją tak posłać. Ludwiko! Czy kochałaś marszałka? — Z tej izby nigdy nie wyjdiesz.

LUDWIKA

Pytaj, co chcesz — ja nic nie odpowiem.

FERDYNAND

Przygotuj twoją duszę nieśmiertelną. Ludwiko! Czy kochałaś marszałka? Z tej izby już nigdy nie wyjdiesz.

LUDWIKA

Nic nie odpowiem.

FERDYNAND

*w okropnym poruszeniu upada przed nią*

Ludwiko! powiedz: czy kochałaś marszałka? — zanim to światło dogore — staniesz przed Bogiem.

LUDWIKA

*zprzestrachem powstając*

Jezus! — co to znaczy? — i — słabą się czuję.

*Upada na krzesło.*

FERDYNAND

Już? — Bogdaj was kobiety! — i waszą wieczną zagadkę. Nerwy delikatne chwytają się zbrodni, która ludzkość w jej korzeniu toczy — a nędzne ziarno arszeniku w niemoc was obala.

LUDWIKA

Truczna! trucizna! — o mój wielki Boże!

FERDYNAND

Tak myślę — twoja limonada w piekle przyprawiona. Zdrowie śmierci piłaś.

Truczna

LUDWIKA  
Umierać! — umierać! Boże miłosierny! trucizna w limonadzie i umierać trzeba! Zlituj się nad duszą moją, panie miłosierny!

FERDYNAND  
To rzecz główna — i ja go o to prosić będę.

LUDWIKA  
Moja matka — mój ojciec! — świata Zbawicielu, mój biedny, nieszczęśliwy ojciec! — Czy nie ma ratunku? Mój wiek młody, i nie ma ratunku — i tej chwili porzucić świat muszę?

FERDYNAND  
Nie ma ratunku i tej chwili świat porzucić musisz — bądź jednak spokojną; razem w drogę idziemy.

LUDWIKA  
Ferdynandzie, i ty? Truciznę od ciebie, Ferdynandzie? Boże, przebacz mu, Boże łaski! Zdejm z niego tę winę.

FERDYNAND  
Przejrzyj twoje rachunki — bo zda mi się nie najlepiej stoją.

LUDWIKA  
Ferdynandzie. Ferdynandzie! O, teraz nie chcę dłużej milczeć. — Śmierć rozwiązuje przysięgi. Ferdynandzie — na ziemi i w niebie nie ma nieszczęśliwszego od ciebie człowieka — ja niewinną umieram, mój Ferdynandzie!

FERDYNAND  
Co ona mówi? Z kłamstwem nikt nie zwykł w tę drogę odchodzić.

LUDWIKA  
Ja nie kłamię — nie kłamię. Raz w życiu skłamałam — Hu! Jakie zimno po kościach przechodzi — raz tylko, pisząc list do marszałka.

FERDYNAND  
Ha! Ten list! — Bogu dzięki, jeszcze całą siłę czuję.

LUDWIKA  
*w poruszeniach umierającej*  
Ten list — przygotuj się straszne słowo słyszeć — moja ręka pisała, co potępiło serce — ojciec twój dyktował.

FERDYNAND  
*z obłąkaniem, martwym okiem pozierając, rzuca się jakby piorunem rażony*

LUDWIKA  
Nieszczęśliwe nieporozumienie! — Ferdynandzie! Zmusili mnie — Twoja Ludwika śmierć by przeniosła<sup>79</sup> — ale mój ojciec... Niebezpieczeństwo — chytrze to ułożyli.

FERDYNAND  
Bóg niech będzie pochwalony — jeszcze trucizny w sobie nie czuję.  
*Porywa za szpadę.*

LUDWIKA  
*coraz słabsza*  
Biada! Co myślisz począć? — To twój ojciec.

FERDYNAND  
Zbrodniarz i zabójca — z nami iść musi — żeby sędzia przedwieczny winnego nie szukał.  
*Chce wyjść.*

śmierć

<sup>79</sup>przenosić (daw.) — woleć. [przypis edytorski]

LUDWIKA

Umierając przebaczył Zbawiciel mój świata! — Błogosławieństwo tobie i jemu.

*Umiera.*

FERDYNAND

*wraca szybko, patrzy na jej ostatnie poruszenia i przed zmarłą pada na kolana*

Czekaj, czekaj! Jeszcze chwilę, o aniele nieba! *Porywa za rękę i prędko opuszcza.* Zimna, zimna, i spotniała — już jej duszy nie ma. *Powstaje.* Boże mojej Ludwiki! Przebaczenia najokropniejszemu zabójcy — przebaczenie było jej ostatnią modlitwą! Jakże piękna i pociągająca nawet po zgonie! Śmierć wzruszona, łagodnie przeszła po cichych jej licach. Wyraz dobroci nie był jej maską. — Śmierci się oparł i został. *Po chwili.* Cóż to — ja nic nie czuję? — Czy siła młodości ma mnie zatrzymać? Niewdzięczny trudzie — tego ja nie ścierpię.

*Porywa za szklankę*

## SCENA OSTATNIA

FERDYNAND, PREZYDENT, WURM i SŁUŻBA *ze strachem wpadają do pokoju* — *później* MILLER z LUDEM i STRAŻĄ.

PREZYDENT

*z listem*

Synu! Czy być może — nigdy nie uwierzę.

FERDYNAND

*dopija resztę trucizny i szklankę ciska ojcu pod nogi*

To patrz, rozbójniku!

PREZYDENT

Synu mój! Na co, na coś to uczynił?

FERDYNAND

Zapewne! Trzeba było ministra się radzić, czy dzieło do jego planów przypadało. Wyborny, zadziwiający był pomysł, żeby związek naszych serc zazdrością rozerwać. Wyra-  
chowanie godne było mistrza; szkoda tylko, że gniewna miłość nie powodowała się<sup>80</sup>  
ruchom druta, jak twoje lalki drewniane.

PREZYDENT

*oglądając się w około*

Czy nie ma tu nikogo, żeby nad niepokieszonym ojcem zapłakał?

MILLER

*za sceną*

Puszczajcie mnie — na Boga, puszczajcie.

FERDYNAND

Dziewica jest świętą — za nią kto inny modlić się powinien.

*Otwiera drzwi MILLEROWI który z ludem i strażą wpada.*

MILLER

Moje dziecię! Moje dziecię! Mówią tu o truciznie. — Cóрко moja! Gdzie jesteś?

FERDYNAND

*prowadzi go pomiędzy PREZYDENTA i trupa LUDWIKI*

Jam niewinny! — Ot temu podziękuj.

MILLER

*pada przy córce*

O Jezu!

FERDYNAND

W krótkich słowach, ojczu! Zaczynają mi być drogimi. — Niegodziwie z życia zostałem okradziony — okradziony przez ciebie. Drzę o mój rachunek z Bogiem — ale

<sup>80</sup>powodować się (daw.) — dać się kierować. [przypis edytorski]

złoczyńcą nigdy nie byłem. — Wiekuiste moje przeznaczenie jakiegokolwiek będzie, na ciebie niech nie spada. Ale ja zabójstwo popełniłem, zabójstwo, które nie zechcesz, abym sam przed sąd Boga zanosił. Uroczyście zwałam większą i straszniejszą połowę na ciebie. — Jak się z nią ułatwisz, twoje w tym staranie. *Prowadząc go do LUDWIKI.* Tu, barbarzyńco! Nad tym okropnym owocem dowcipu<sup>81</sup> twojego paś oczy twoje — na tej twarzy głoskami zniszczenia stoi wypisane imię twoje, i anioł śmierci głośno go odczyta kiedyś. Postać, jaką tu widzisz, odchyli zasłonę łoża twojego, gdy w śnie spoczniesz i poda ci lodowatą rękę. Postać, jaką tu widzisz, w godzinie śmierci stanie przed duszą twoją i z ust twoich strąci ostatnią modlitwę. Postać ta na twoim grobie się ukaże, gdy cię na zmartwychwstanie obudzą, i przy Bogu stanie, gdy ten cię sądzić będzie.

PREZYDENT

*wznosząc rękę do góry*

Nie mnie, nie mnie, sędzio świata! Ale jego pytaj o tę duszę.

WURM

Mnie?

PREZYDENT

Ciebie, przekłety! — Ciebie, szatanie! Ty dałeś jadowitą radę — na tobie odpowiedzialność — ja umyвам ręce.

WURM

Na mnie? *Ze straszonym śmiechem.* Wybornie! Wybornie! Wiem teraz przynajmniej, jak szatani dziękują. Na mnie, głupi złoczyńco? — Byłżeto mój syn? Ha! Przy tym widoku, co szpik w kościach zamraża, na mnie zwalasz odpowiedzialność? — Zgubiony jestem, ale i ty ze mną. Chodźcie — po mieście ogłoście zabójstwo, obudźcie sprawiedliwość. Zwiąż mi ręce, straży, i prowadź do sędziów — ja odkryję tajemnicę, która włosy słuchaczom najeży.

*Chce wychodzić.*

PREZYDENT

*wstrzymując go*

Przecież nie zechcesz, szalony?

WURM

*bijąc go po ramieniu*

Zechcę, towarzyszu! Zechcę — szalonym mnie nazywasz — prawda, ale to twoje dzieło — i po szalonemu postąpię. Ręka w ręce z tobą pójdę na rusztowanie! Ręka w ręce z tobą pójdę do piekła. — Mojej miłości pochlebi, razem być z tobą potępieniem!

*Odprawiając go.*

MILLER

*który cały czas miał głowę na łonie LUDWIKI, powstaje i worek z pieniędzmi ciska pod stopy FERDYNANDA*

Przyprawiaczu trucizny! Zatrzymaj złoto twoje — czy chciałeś nim dziecko moje zapłacić?

*Wypada z pokoju.*

FERDYNAND

*urywanym głosem*

Bieźcie za nim — on rozpacza! Oddajcie mu złoto, straszliwą moją zapłatę. Ludwiko! Ludwiko! — idę — bądźcie zdrowi — przy tym ołtarzu, pozwólcie, niech umrę.

PREZYDENT

*budząc się z głuchego osłupienia*

Synu mój! Ferdynandzie! Nie rzuciszże jednego spojrzenia na ojca przygnębionego?

*MAJORA kładą przy LUDWICE.*

FERDYNAND

Bogu miłosiernemu należy się to ostatnie.

<sup>81</sup>dowcip (daw.) — rozum, spryt. [przypis edytorski]

PREZYDENT

*klękając przy synu*

Stwórca i stworzenie opuszczają mnie. Na ulgę sercu, czyż jednego nie rzucisz spojrzenia?

FERDYNAND

*podaje mu rękę*

PREZYDENT

*wstając*

Przebaczył mi! *Do STRAŻY — teraz do więzienia.*

*Wyprowadzają go.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schiller-intryga-i-milosc>

Tekst opracowany na podstawie: Fryderyk Schiller, *Dzieła dramatyczne*. T. 1., tł. Michał Budzyński, wydanie drugie J. N. Bobrowicza, Lipsk, Nakładem Księgarni Zagranicznej, 1850.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Eine Publikation im Rahmen des Projektes Wolne Lektury. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paulina Oltusek, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-0853-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).